

zdarzenia

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

KRAKÓW

21. VII. 1957 r.

Nr 11

CENA Zł 1.50

SPOTKANIA Z OJCZYZNĄ



Krakowianka Ina i dwaj paryżanie na polską Sekwaną.

Witaj, umiłowany kraju

Ołówek wolno, wolniutko kreśli na papierze linię; zarysowują się kontury Polski. Potem rzeki, punkty miast — Szczecin, Wrocław, Warszawa. Przy Krakowie wyrysowany smukły stolec Mariackiej Wieży. Rysownik nie ma więcej niż 10 lat, które spędził w Lionie. Od tygodnia jest w Polsce wraz z innymi dziećmi Polonii. Najwięcej przyjechało ich z Francji — kilkaset. Krakowski dom nad Wisłą pod kierownictwem dyr. Bonczara gościł pierwszą grupę chłopców. To właśnie jeden z nich na powitanie narysował dwie mapki. — Polski i Francji. Narysował je tak, że granice obu państw stykają się ze sobą tak, jak sąsiadują ze sobą dwie ojczyzny w sercu dziecka.

— Tak, jak nasze dwa święta — mówi Jurek z Lionu. Właśnie tak to określił — nasze święta. 14 i 22 lipiec. Vive la France, niech żyje Polska. Ta Polska, którą znał tylko ze słyszenia, zaczął się nie wyparł przez tyle lat jego rodzice, którą tak bardzo, tak bardzo chciał zobaczyć.

Podczas obiadu ktoś podszedł do fortepianu i zaczął grać — repertuar „Mazowsza”, kujawiaki, krakowiaki; pobrzękiwały talerze chłopcy wygłodniali wrócili z pierwszej wycieczki po mieście. I nagle przerwali jedzenie, zaczęli odsuwać krzesła, wstawać od stołu. Dopiero wtedy zauważyłem, że pianista w skoczno go krakowiaka wpiął pierwsze tony „Ma-

zurka” Dąbrowskiego. Dzieci stały wyprężone na baczność ze szklącymi się oczami, zaciśniętymi, jakby matka opowiadała im najpiękniejszą baśń. — Jeszcze Polska...

Nad polską Sekwaną

Znają tę rzekę od lat. Powracała wciąż w opowieściach rodziców wytekniona, najbliższa sercu rzeka świata. Ale zobaczyli ją pierwszy raz dopiero dzisiaj, dwaj polscy chłopcy po 11 latach dotarli nad jej brzeg. Nawet nie bardzo poprawnie wymawiają jej imię. — „Wisła, piękna Wisła”.

Jan Bigos jest paryżaninem. Tu się urodził, tu chodzi do szkoły. Ale matka uczy go ojczystej mowy.

— Ja chciałbym tu przyjechać i pozostać — mówi po prostu mały blondynek Leszczyński. Jego ojciec jest górnikiem, w domu rozmawiają po polsku, ale w szkole sami Francuzi i w dzielnicy, w której mieszkają nie ma polskich dzieci.

Urok Wawelu, Starego Miasta, prastarej polskiej rzeki działa na chłopców jak hipnoza. Długo milczą, a potem mieszając słowa polskie i francuskie, porównują starą przyjaciółkę Sekwanę, z dopiero co ujrzaną Wisłą i stwierdzają z rozbrajającą dziecięcą szczerością — „teraz ko-

chamy najbardziej — obydwie”.

P. M. i J. Ż.



Jaka ciekawa ta książka. Wielu z nich chociaż chodzą do francuskich szkół umie czytać po polsku

Największe osiągnięcia

Antropologia

ad 1. Za największe osiągnięcie antropologii polskiej w skali krajowej uważam przeprowadzenie zdjęć antropologicznych ludności polskiej (dorosłych, dzieci i młodzieży), dla celów przemysłowych. Wyniki tego zdjęcia dadzą podstawę do opracowania znormalizowanych wzorców dla przemysłu lekkiego, a więc dla produkcji odzieży, bielizny, obuwia itd. dopasowanych do typów budowy najczęściej spotykanych wśród ludności polskiej.

Zdjęcie antropologiczne Polski zostało zorganizowane i przeprowadzone przez antropologów polskich dzięki poparciu ze strony rządu oraz sfinansowaniu tej akcji przez Polską Akademię Nauk.

ad 2. Największe powojenne osiągnięcie z dziedziny antropologii zagranicą stanowią niewątpliwie wyniki poszukiwań w Afryce południowej, przeprowadzane przez Dart'a Broom'a, Robinsona i innych. Miały one na celu zgromadzenie większej ilości szczątków bardzo ciekawych form małp kopalnych należących do grupy małp czelkoksztalnych, znanych powszechnie pod nazwą Australopithecinae. Już na podstawie bardzo nielicznych zresztą znalezisk przedwojennych można było przypuszczać, że stanowią one formy małp posiadających dwunożny typ lokomocji ciała znany nam dotychczas jedynie u człowieka.

Obecnie rozporządzając dzięki wspomnianym poszukiwaniom stosunkowo dużym materiałem antropolog dyskutują bardzo żywo kwestię: czy formy Australopithecinae mogły być formami, z których bezpośrednio wykształciły się formy praludzkie a następnie formy ludzkie. Zdania w tej sprawie są podzielone i dyskusja nie jest jeszcze zakończona.

Prof. dr KAZIMIERZ STOŁYHWO

Maszynoznawstwo

ad 1. Za największe osiągnięcie w Polsce w dziedzinie silników spalinowych uważam budowę prototypu silnika okrętowego o mocy 4000—5000 KM konstrukcji polskiej. Silnik jest przeznaczony dla bezpośredniego napędu śruby okrętowej, jako silnik główny. Trzy cylindry próbne wykonują obecnie Zakłady H. Cegielski, przy czym budowa ma być zakończona do końca br. W naszych zakładach przemysłowych zaczynamy budować silniki okrętowe do największej mocy (14000KM).

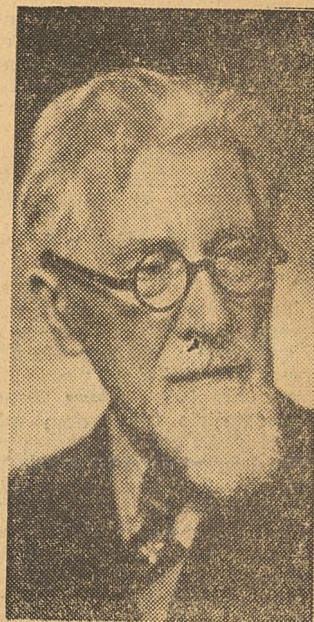
W produkcji silników spalinowych w Planie 5-cioletnim o mocy od największej do najmniejszej, zainteresowane są również inne zakłady. Wymienię tylko Stocznie w Elblągu, Zakłady Nowotki i Zakłady w Andrychowie. Zwłaszcza te dwa ostatnie zakłady mogą już dziś poszczycić się dużymi osiągnięciami w produkcji silników małej mocy, nie tylko dla potrzeb krajowych, lecz również na eksport.

ad 2. Aktualne zagadnienia w budowie silników spalinowych można streścić krótko w dwóch podstawowych punktach. A to: a) uzyskanie możliwie największej mocy cylindrowej przez t. zw. doładowanie, oraz b) przystosowanie urządzeń pomocniczych silników, jak również samych silników dla spalania tanich gatunków paliw ciężkich t. zw. bunkrowych, których normalnie używa się do opalania kotłów parowych.

Jeżeli chodzi o pierwsze zagadnienie, to osiągnięcia wytwórni zagranicznych przeszły oczekiwania. W silnikach cztero-suwowych przez t. zw. nadładowanie wytwórnie uzyskały średnie ciśnienie efektywne 12—15 atm, a przejściowo największe 25 atm (silniki szybkie firmy MAN, Sulzer i Mirrles, Bickerton and Day). Na silniku doświadczalnym firmy MAN uzyskano w normalnej pracy średnie ciśn. efektywne 15 kg/cm², a równocześnie zużycie paliwa, oleju napędowego o wartości opałowej 10000 kilokalorii/kg — około 1400 KM/godz., co odpowiada dotychczas nie notowanej sprawności cieplnej 44,6 proc. W zakresie silników okrętowych wolnobieżnych, zastosowanie doładowania pozwoliło zwiększyć moc cylindrową średnio o 30 proc. Spalanie ciężkich paliw, jakie poruszam w drugim punkcie, bardzo charakteryzującym rozwój silników, obecnie jest również stosowane prawie przez wszystkie wytwórnie. Wśród nich przodują zakłady Fiata w Turynie. Poza tym, w oparciu o licencje Fiata silniki okrętowe przystosowane do ciężkich paliw buduje firma Borsig w NRE.

Również w dziale technologicznym budowy silników spalinowych wysokoprężnych (Diesel) notujemy duże postępy. Mianowicie zastosowanie konstrukcji spawanych, odciążonych stalowymi ściągami, obniżyło wydatnie ciężar jednostkowy silników. Nowoczesny silnik jest dzięki temu o połowę lżejszy od silnika z okresu międzywojennego, a wskutek t. zw. doładowania gabarytowo jest niższy i krótszy.

Prof. mgr inż.
KAZIMIERZ SZAWŁOWSKI



Prof. dr Kazimierz Stolyhwo



Prof. mgr inż. Kazimierz Szawłowski



Prof. dr Jan Miodoński

Felieton specjalny
czyli
AUTOWYWIAD

Jest teraz szalona moda na wywiad. Są nawet tacy szczęśliwcy, jak Osmańczyk, których interwjuje się co tygodnia. Ja też czekałem, czekałem, ale się nie doczekałem, więc nie ma innej rady — muszę do zatawić sam. Udaje się wtedy do siebie i zastaje się nakręcającego na podłodze blaszaną kaczką.

— Co pan teraz robi? — pytam, ściskając sobie z szacunkiem dłoń.
— Puszczam kaczkę. Patrz pan, jak macha skrzydłami, co?

— Miałem na myśli pańską twórczość.
— Ach to. Zmieniam profil. Literatura, jaką uprawialiśmy dotąd, okazała się nierentowna. „Dom Książki” oraz przykłąd kolegów wskazał mi nową drogę rozwoju. Piszę powieści kryminalne. Na początek — trzy.

— Więc odszedł pan od fantastyki? — pytam z ubolewaniem.
— Bynajmniej. To są powieści kryminalno-fantastyczne.

— Można poznać jakieś dalsze szczegóły?
— Można poznać. Pierwsza dzieje się na luksusowo urządzonej statku kosmicznym. Załoga składa się z arystokratów, psychopatów, kociaków, gwiazd filmowych, cierpiących na nimfomanie, oraz dziecięcznie obciążonych psów czau-czau. Receptura, jak pan widzi, nowoczesna.

— Istotnie. A czym zajmuje się załoga tej rakiety?
— Rzecz jasna, orgiami oraz morderstwami, które mają się do siebie w stosunku dwa do jednego, bo ta proporcja, jak wykazały badania opinii publicznej, gwarantuje najwyższy nakład.

— Czy na rakiecie jest detektyw?
— Pewno. Jest nim pewien starszy, flegmatyczny, kochający kwiaty móżdżek elektryczny.

— A te inne powieści, o których zechciał pan wspomnieć?

— Jedna jest o tematyce krajowej. To historia skonstruowania pierwszego polskiego sztucznego satelity, związana z grubszą aferą łapówkową, dzięki której pewien facet z prywatnej inicjatywy urządził na tym satelicie tajny dom schadzek.

— Czy dobrze słyszę?
— Nie wiem. Proszę sobie przetkać tucho. Na tym sztucznym satelicie miało być laboratorium atomowe, ale ten facet posmarował inwestora i zrobiło się pewne przeróbki, tak aby przez spektrografy Astona można było oglądać zdjęcia pornograficzne, automatyczną aparaturę przerobiło się na usługowe roboty erotyczne, a o tym, co się dzieło w stosunku atomowym, to pan sobie może już sam przeczytać, jak powieść wydziału. Są tam jeszcze inne watki. Grupa operacyjna Ministerstwa

Handlu udaje się na Księżyc pod pozorem otwarcia wzorcowej ekspozytury Cepelli, a w rzeczywistości przerabiają grunt księżycowy na kamyczki do zapalniczek i robią na tym miliony. Z upływem czasu Księżyc zmniejsza się i zachodzą pewne perturbacje wykryte przez obserwatorium w Kieleckim, ale główny astronom nie podaje ich do wiadomości, bo został zablutowany.

— Zabła...
— Tak. Przedstawiciel Cepelli, wracając z Księżyc, wstępuje na jedną małą radioaktywną do sztucznego satelity, bo mu po drodze, i łapie tam własną żonę in flagranti z z pewnym amerykańskim robotem, który łagodzi jego wściekłość obietnicą, że wyprodukuje nadymany księżyc z gumy, odpowiednio pomalowany, który będzie imitował na niebie prawdziwy księżyc. Ten robot ma kochankę z wyższych sfer, przez którą nawiązuje kontakt z marynarzami kosmicznej linii Gdynia—Mars i sprzedają z nimi cały Księżyc na złom. Za uzyskane dewizy budują sobie parę jednorodzinnych satelitów z komfortem (smyrny, ruleta, elektronowa rozpusta itp.). Niestety, ście chce, że mąż kochanki robota przez zemstę przekłuiwa nadymany księżyc, powietrze ucieka, guma się zapada i grozi skandal. Nasza milicja rusza natychmiast na miejsce wypadku, ale z powodu niskiego stanu motoryzacji dysponuje tylko dwukonną bryczką, bo motocykl jest w remoncie, a rakietę skreślono im przez oszczędność. Po drodze mlecznej konie słabną i trzeba zrobić postój na sztucznym satelicie.

— Tym jednorodzinny?
— Nie, tym z domem schadzek. Jeden z milicjantów przez omyłkę wchodzi do stosu atomowego, staje się świadkiem drastycznej sceny i wylatuje stamtąd w najwyższym podnieceniu, ale kierownik, ten gość z prywatnej inicjatywy, tłumaczy mu, że na tym właśnie polega rozbijanie jąderek. Milicjant nie jest fizykiem atomowym więc bierze to za dobrą monetę, lecz w tym momencie gumowa płachta, która spada z nieba nakrywa sztucznego satelity, robi się ciemno i w zamieszaniu jeden agent wkłada do walizki śledczej spektrograf z wiadomymi zdjęciami zamiast parasola...
— Przepraszam na chwilę. Proszę mi wybaczyć, ale... nie mogę nadać za lotem pańskiej fantazji. W głowie mi się trochę zakręciło... Tak, już mi lepiej. To niesłychane, do prawdy. Pan mówił jeszcze o trzeciej powieści, prawda?
— Tak. To utwór młodzieżowy, dłuższa historia, obficie ilustrowana, o takim małym chłopczyku, który morduje swoją rodzinę.

— Morduje...?
— No tak. Pan zdaje się faktycznie niedosłyszy? Wydał się wojnę natrętnej, nudnej dyktacji. Używając na przemian czekoladek z cjankiem potasu, siekiery oraz tresowanego okularknika...
— Bardzo pana przepraszam, ale zdaje mi się, że o takich dzieciach, które mordowały, już gdzieś pisano?
— O takich dzieciach może i pisano, ale nie o tym, które jest bohaterem mojej powieści. To jest chłopczyk syntetyczny, proszę pana.

— Syntetyczny?
— Tak. Plastikowy, dla bezdzietnych rodziców, z elektromózdzkiem, tylko wyprodukowały go w ramach ubocznej produkcji zakłady im. Nowotki i ma on pewien drobny feler, wskutek czego, zamiast kochać przybranych rodziców, morduje ich. Mała omyłka w połączeniu lamp katodowych, nieprawdaż.

— I co dalej z tym chłopcem, można spytać?
— Można spytać. Zdemaskowany, szuka ratunku w krótkim śpieniu, to jest w samobójstwie, chciałem powiedzieć.

— To szalenie ciekawe. A co pan jeszcze robi, poza pisaniem tych oryginalnych książek, czy wolno postawić takie pytanie?
— Wolno postawić. Epoka schematyzmu, mój panie, w której wietnamskie dzungle lepiło się z twarzonego papendekla, a wybrzeża atlantyckie kręciło się w Faleńcy, ta epoka jest szczęśliwie za nami. Obecnie każdy film kręci się tam, gdzie się toczy jego akcja. Planuje się film o Monte Cassino — kręcić go będą we Włoszech. Kolega Stawinski ostatnio napisał ciekawy scenariusz, „Casalarga”, o żywej akcji...
— Też we Włoszech?

— Jasne, a pan co myślał, że w radomskim? Ma się też kręcić moich „Astronautów. Czeka mnie w związku z tym służbowy wyjazd...
— Haha, pan jest bardzo dowcipny!
— Ależ to nie żart. Jedziemy nie na Wenus, ale za granicę. Wyjaśniło się czynnikiem, że aby odnaleźć miejsce na kuli ziemskiej, nadające się do kręcenia filmu o innej planecie, musimy w stoosiemdziesiąt osób, plus odpowiednia ilość aut, objechać cały glob. Poszukiwania te trwać mają około trzech lat. Głównymi punktami ich będą: Place Pigalle w Paryżu, 72 ulica w Nowym Jorku, dzielnice portowe Marsylii i Kopenhagi, ponadto pewne rejony Londynu, Rzymu, Tokio, Sycylii, Casablanc, Riwier, Afryka Centralna i Haiti.

— Haiti też?
— Tak, słynie z tancerek, czy z rumu, w tej chwili zapomniałem, ale mam to gdzieś zapisane.

— A może powie mi pan, co będzie w Polsce za dziesięć lat?
— Pan mnie pyta jako pisarza fantastycznego, czy jako osobę prywatną?
— No.. jako pisarza.

— Tak? Hm, cóż, będzie, proszę pana, szalony nadmiar aut, lodówek, diabli wiedzą czego, higiena, porządek niesłychany, plastikowe barwne domy, prywatne helikoptery, autostrady, a wszystko jak w zegarku!
— A.. a jako osoba prywatna — co mógłby pan powiedzieć?
— Uważam, mój panie, że to i niesmaczne i nietaktowne publikować treść prywatnych rozmów, a zresztą cóż one kogo obchodzą? Pan jakos tak patrzy — zapewne odczuwa pan zmęczenie? Rozmawiamy dość długo, istotnie. A może pan nie ma już czasu, co?

Wstaję szybko, pojawia się dyskretna aluzja, i dziękując wylewnie gospodarzowi, pędzę do redakcji, aby jak najszybciej podzielić się z Czytelnikami bogactwem wrażeń, wyniesionych z tak udanego wywiadu.

— Wstaję szybko, pojawia się dyskretna aluzja, i dziękując wylewnie gospodarzowi, pędzę do redakcji, aby jak najszybciej podzielić się z Czytelnikami bogactwem wrażeń, wyniesionych z tak udanego wywiadu.

— Wstaję szybko, pojawia się dyskretna aluzja, i dziękując wylewnie gospodarzowi, pędzę do redakcji, aby jak najszybciej podzielić się z Czytelnikami bogactwem wrażeń, wyniesionych z tak udanego wywiadu.

— Wstaję szybko, pojawia się dyskretna aluzja, i dziękując wylewnie gospodarzowi, pędzę do redakcji, aby jak najszybciej podzielić się z Czytelnikami bogactwem wrażeń, wyniesionych z tak udanego wywiadu.

— Wstaję szybko, pojawia się dyskretna aluzja, i dziękując wylewnie gospodarzowi, pędzę do redakcji, aby jak najszybciej podzielić się z Czytelnikami bogactwem wrażeń, wyniesionych z tak udanego wywiadu.

— Wstaję szybko, pojawia się dyskretna aluzja, i dziękując wylewnie gospodarzowi, pędzę do redakcji, aby jak najszybciej podzielić się z Czytelnikami bogactwem wrażeń, wyniesionych z tak udanego wywiadu.

— Wstaję szybko, pojawia się dyskretna aluzja, i dziękując wylewnie gospodarzowi, pędzę do redakcji, aby jak najszybciej podzielić się z Czytelnikami bogactwem wrażeń, wyniesionych z tak udanego wywiadu.

— Wstaję szybko, pojawia się dyskretna aluzja, i dziękując wylewnie gospodarzowi, pędzę do redakcji, aby jak najszybciej podzielić się z Czytelnikami bogactwem wrażeń, wyniesionych z tak udanego wywiadu.

— Wstaję szybko, pojawia się dyskretna aluzja, i dziękując wylewnie gospodarzowi, pędzę do redakcji, aby jak najszybciej podzielić się z Czytelnikami bogactwem wrażeń, wyniesionych z tak udanego wywiadu.

— Wstaję szybko, pojawia się dyskretna aluzja, i dziękując wylewnie gospodarzowi, pędzę do redakcji, aby jak najszybciej podzielić się z Czytelnikami bogactwem wrażeń, wyniesionych z tak udanego wywiadu.

— Wstaję szybko, pojawia się dyskretna aluzja, i dziękując wylewnie gospodarzowi, pędzę do redakcji, aby jak najszybciej podzielić się z Czytelnikami bogactwem wrażeń, wyniesionych z tak udanego wywiadu.

— Wstaję szybko, pojawia się dyskretna aluzja, i dziękując wylewnie gospodarzowi, pędzę do redakcji, aby jak najszybciej podzielić się z Czytelnikami bogactwem wrażeń, wyniesionych z tak udanego wywiadu.

Największe osiągnięcia

(Dokończenie ze str. 1)

Medycyna

ad 1. Za najpoważniejsze krajowe osiągnięcie w otolaryngologii uważam operację poprawiającą słuch, a wykonywane przy różnych typach schorzeń ucha środkowego. Chodzi tu mianowicie o tzw. tympanoplastykę. Pierwsze prace polskie w których opisano — niestety tylko po polsku — takie zabiegi, ogłoszono w 1951 roku, zaś w Niemczech zach. w 1952 roku, a potem już na całym świecie.

ad 2. Największym osiągnięciem powojennym za granicą są antybiotyki, które przekształciły obraz wielu dziedzin medycyny w zupełnie zaskakujący sposób.

Jeśli idzie o teren otolaryngologiczny, największym osiągnięciem są operacje poprawiające słuch. Pierwszym typem takiej operacji, to była tzw. fenestracja przy otosklerozie, którą Amerykanie tuż przed wojną i w czasie wojny udoskonalili, dzięki czemu mogła ona być stosowana u stosunkowo wielkiej ilości chorych na całym świecie. Zabieg polega na wytworzeniu nowego okienka w pochewce kostnej błędnika, w miejsce zarosniętego procesem chorobowym okienka owalnego. Ten typ operacji rozpowszechnił się w Europie właściwie dopiero po wojnie, zaś w Polsce rozpoczął wykonywać tę operację od września 1946 roku.

PROF. DR
JAN MİDODŃSKI

Astronomia

1. Do największych osiągnięć zaliczam prace prof. T. Banachiewicza z różnych dziedzin astronomii.

Ponadto można by tutaj wymienić wykrycie okresowości pojawiania się komety Halleya, a szczególnie wykrycie szeregu jej pojawień na przestrzeni lat 2314—622 przed naszą erą. Kometa Halleya stanowi klucz do chronologii starożytnej i dzięki niej ustalono m. in. rok upadku Troi, tj. 1164 przed naszą erą.

2. Największym osiągnięciem w skali światowej jest powstanie radioastronomii oraz budowa sztucznych księżyców i wulkanów międzyplanetarnych.

Zanim dostaniemy się na inne planety — przybysze z innych ciał niebieskich już jak gdyby złożyli nam swoją wizytę.

(Do tego tematu powróćmy w najbliższych numerach „Zdarzeń” — redakcja).

PROF. DR
MICHAŁ KAMIENSKI

Literatura

1. Niewątpliwie są na pewno osiągnięcia o charakterze edytorskim i filologicznym. Na pierwszym planie chciałbym wymienić wydanie narodowe Dzieł Mickiewicza, które po raz pierwszy przyniosło całość korespondencji Mickiewicza w opracowaniu prof. Pigonia i ustalony krytycznie tekst wykładów o literaturze słowiańskiej w opracowaniu Leona Floszewskiego.

Można by również wymienić pewne osiągnięcia podsumowujące wcześniejsze, raczej przedwojenne dorobek naukowy historyków literatury, myślę tu np. o wielkiej monografii Juliusza Kleina o Mickiewiczu. Z drugiej strony można mówić o pracach o charakterze marksistowskim, które — jak mi się wydaje — w bardzo znacznym stopniu zmieniły nasz obraz przeszłości literatury polskiej i stworzyły podstawy do nowej jej naukowej syntezy.

2. Chciałbym wymienić dwie bardzo różne pozycje. Po pierwsze studia Lukaccia, które teraz dopiero w okresie powojennym ukazały się w wydaniu zbiorowym po niemiecku i przez to zostały udostępnione czytelnikom.

Dość trudno jest prześledzić dorobek historii literatury przedwojennej. Z tego co ja czytałem, najwybitniejszym osiągnięciem wydał mi się książka niemieckiego romanisty Ernsta Roberta Curtiusa pt. „Europäische Literatur und lateinisches Mittelalter” wydana w r. 1948. Jest to książka traktująca o genealogii starożytnej i średniowiecznej pewnych rozpowszechnionych w literaturze europejskiej typów, sposobów wyrażania się, pewnych klisz literackich.

PROF. DR
HENRYK MARKIEWICZ

Tadeusz Kantor



Władysław Krzemiński



Prof. dr Michał Kamiński



Prof. dr Henryk Markiewicz

Teatr

1. „Mława” St. Ignacego Witkiewicza w teatrze „Cricot 2”. Wolę jednak nadzieję sukcesu niż sam sukces, który wywołuje stan podobny do katzenjammeru.

Sukcesem w przyszłości może być np. otwarcie teatru „Cricot 2” jako instytucji pozaplanowej.

2. Trudno o sukces zagraniczny po roku wolności artystycznej.

TADEUSZ KANTOR

1. Rozwój sieci teatralnej Polski. Upaństwowienie teatrów i umasowanie kultury teatralnej poprzez organizację widowisk, poziom repertuaru i niewspółmierną w stosunku do innych krajów taniość biletów teatralnych.

Ofiarne ujawnianie pseudorealistycznej szarzyzny dla ostatecznego zwycięstwa swobodnej i twórczej myśli teatralnej.

Niedole Leona Schillera.

2. Wolalbym odwrócić sprawę. Wydarzenia zagraniczne u nas. Iouvet. Vilar. Teatr Leningradzki im. Puszkina, Fabry (Rodzina Arlequina), Olivier, Rajkin, Porgy and Bess.

WŁADYSŁAW
KRZEMIŃSKI

KONIK POLNY

„Francja jest konikiem polnym wśród narodów — mrówek Europy i nie troszczy się prawdziwie o wyciągnięcie nauk z bajek La Fontaine, ona nadal wesoło śpiewa i tańczy przez wiosnę i lato podobnie jak przodkowie, a tymczasem zagraża zimny wiatr północny i jesień...”

(DEMAIN)

PRZEDSIĘBIORCZY KRUPP

„Firma Kruppa z Essen wybuduje w ZSRR fabrykę tworzyw sztucznych. Odpowiednie porozumienie w sprawie tego zamówienia radzieckiego w wysokości 17 milionów marek zostało już zawarte. Na zamówienie radzieckie Krupp wybudować ma fabrykę, w której najpierw wytwarzane mają być prefabrykaty chemiczne dla produkcji tworzyw sztucznych.”

(NEUE RHEIN ZEITUNG)

PO CHIŃSKU

„Jeżeli ktoś chce uniknąć błędów, nie powinien w ogóle nic pisać. Mogą tu istnieć dwie sytuacje albo człowiek nie myśli i nie pisze, albo też myśli, ale nie pisze. W pierwszym wypadku człowiek może tylko ślepo iść za czymś, czy za kimś, ma odmienne zda-

nie, lecz go nie wyraża, to znaczy to, że nie ma odwagi bronić prawdy, bo przecież odmienne zdanie może być właśnie prawdą. Tak więc, obawa przed błędami staje się jednoznaczna z obawą przed prawdą.”

(„SIVEST”)

„DEUTSCHE WELLE OST”

„Delegaci Ziomkostwa Ślązaków uznali jako szczególnie pilne zadanie budowę stacji radiowej Wschód (Deutsche Welle Ost). Jak wynikało z dyskusji, plan ten jest już dość zaawansowany. Głównym zadaniem tej stacji ma być usunięcie wszelkich nieporozumień wśród tych Polaków, z którymi chętnie po przyjacielsku rozmawiałoby się przy zielonym stole. Wspólne cotygodniowe wystąpienia przez radio mogłyby również pozwolić poznać naszym niemieckim rodakom ze Śląska (prawdopodobnie 800 tys.) ze stanem prawnym ich życia pod okupacją polską. Wyjaśnienie można by udzielać w następujących językach: niemieckim, polskim, serbsko-kroackim i czeskim. Wreszcie należy również koniecznie rozpocząć „rozmowę radiową” z innymi narodami wschodnimi.”

(DER SCHLESIER).

PRZYJACIEL

„Od zakończenia ostatniej wojny Amerykanie traktowali bombę jądrową jako swego najlepszego przyjaciela.”

(SCOTS MAN)

CZARNE OWCE

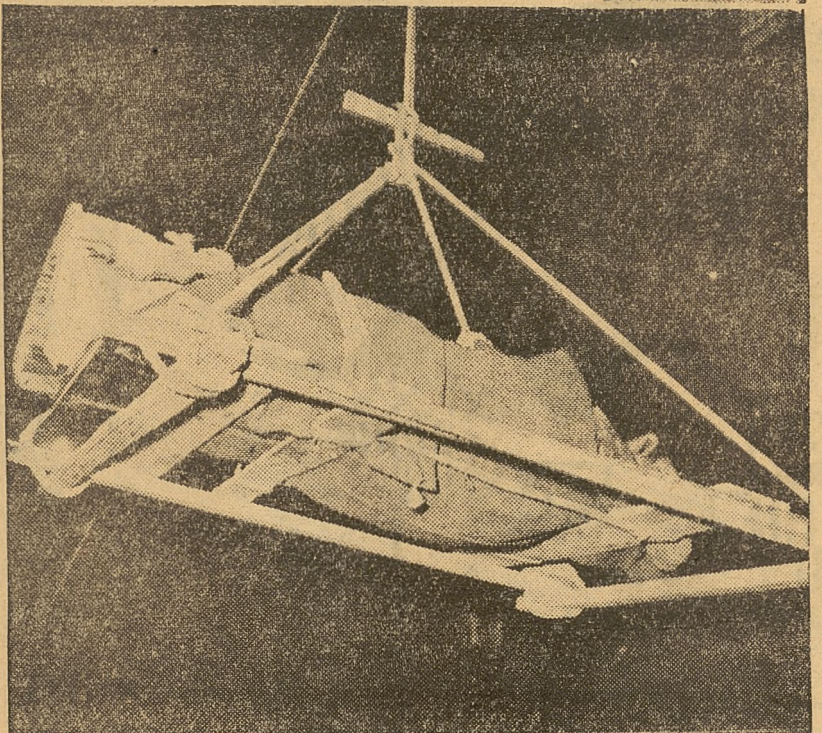
„Znaczna większość emigracji reprezentuje stanowisko, że linia Odra — Nysa powinna stanowić zachodnią granicę Polski. Są nieliczne wyjątki jak np. Mackiewicz i pracujący na jednym z dworców londyńskich dawny publicysta polski Sopicki. Znajdują oni jednak posłuch w wąskich tylko kołach. Polityczne koła emigracji uważają ich po prostu za czarne owce.”

(DIE POLITISCHE MEINUNG).

METAFORA

„Toeplitz przypuszczał, że głęboko pogrzał realizm socjalistyczny na cmentarzu odrzuconych przez historię, a tymczasem zamiast zwłok swego wroga złożył on do grobu jedynie zranioną kukiełkę, krwawiącą trocinami, na której uczył się obchodzić ze swym drewnianym mieczem.” (Vladimir Dostal, CSR, polemika z KT Toeplitzem).

**OLTARZ WITA STWOSZA PO KONSERWACJI WRACA
NA SVOJE MIEJSCE DO KOSCIOLA MARIACKIEGO**



Fot. O. LINK

Śmierć na taśmie magnetofonowej

Wielki pisarz włoski Malaparte był ofiarą wojny, z którą rozprawił się w powieści „Kaput”. Gdy miał 16 lat, uciekł ze szkoły i zaciągnął się do legionu Garibaldi, walczącego we Francji. Na froncie pod Bligny dostał odłamkiem pocisku w pierś i padł zemdlony na polu zasnutym oparami iperytu.

W 40 lat później, gdy Malaparte przebywał w Chinach, zakażenie iperytem dało znać o sobie. Stan pisarza pogarszał się coraz bardziej. Przewieziono go samolotem w stan bezradzieństwa do Włoch i umieszczono w klinice „Sanatrix”. Malaparte, który był świadkiem dramatycznych wydarzeń swej epoki, chciał być również świadkiem własnej śmierci. Pragnął z całą świadomością przeżyć „te granice, która oddziela człowieka od nieskończoności, czas od wieczności”. Wezwał do kliniki jednego ze swoich przyjaciół, dziennikarza włoskiego Franco Veglianiego, by mu dyktował bezpośrednio do magnetofonu dzieje swej walki ze śmiercią, tak, jak ją przeżywał.

— Moja agonia, oto niezwykle zdarzenie, które pragnę opowiedzieć. Kładę nacisk na słowo agonia. Bo to prawda. Przez 5 dni przeżywałem agonię.

Agonia. Sens tego słowa jest aktywny a nie pasywny. Oznacza bój i walkę. Jest to bitwa ze śmiercią. Toczyłem ją z całą świadomością przez pięć dni. Ścisłe od rana w niedzielę 12 maja do rana w czwartek 16 maja.

Zaczęło się to w niedzielę 12 maja rano. Pomożono mi usiąść na łóżku. Jedną z siostrzynie „Sanatrix”, siostra Carmelita podsunęła mi rękę pod plecy. W tym momencie popełniłem nieostrożność. Przechyliłem głowę w tył. Serce zaczęło gwałtownie bić. Wolną ręką siostra Carmelita nacisnęła dzwonek. Przybiegli inne siostry wraz z lekarzami. Fizycznie byłem zgubiony, moje ciało było zgubione. I nikt nie mógł z całą pewnością powiedzieć, jak długo zachowam świadomość. Profesor Pozzi zbadał mnie, i gdy wstawał usłyszałem jak szeptał: „Wyczuwa się tarcie osierdżlowe; nie przeżyje nocy!” I polecił siostrze, by nawet na chwilę nie zostawiała mnie samego. Widziałem i słyszałem wszystko. Serce już nie biło. Drgało. Jest to jeden z objawów zapalenia osierdża. Tańczyło w sposób niezorganizowany w szaleńczym rytmie. Z całym spokojem asystowałem z zewnątrz temu wściekłemu baletowi. Czasem serce zatrzymywało się. Wówczas wpadałem w otchłań. Potem znów zaczynało swoją sarabandę.

Pewnej nocy poczułem, że śmierć wdziera się w moje ciało. Nogi stały się zimne. W świetle nocnej lampki spojrzałem na ręce. Nagle zobaczyłem, jak wzdłuż żył tworzą się grudki. To krew się ścinała. Wezwałem siostrę. Z kolei ona spojrzała. Bez słowa poszła po profesora Poziego. Ten potaknął głową i rzekł: „tak”.

— Słyszysz tego psa? Opowiem ci jego historię. Prześladował mnie przez cały dzień. Wreszcie wieczorem zamilkł. Zbudziłem się w nocy przypominając sobie ohydne psisko. I powiedziałem do siostry, która przy mnie czuwała: „Siostrze, pies już nie szczeka”. Zobaczyłem, że wpatruje się we mnie, jakby nie rozumiała tego co mówię. Była Hiszpanką i przypominała postaci z obrazu El Greca. Powtórzyłem: „Pies już nie szczeka”. Nie spuszczając ze mnie oczu podeszła w milczeniu do dzwonka i nacisnęła guzik. Zjawiała się pielęgniarka ze strzykawką w ręku. Rzuciłem na nią pytające spojrzenie. „Pan majaczy, panie Malaparte”. — powiedziała. Hiszpańska zakonnicca przelicytowała ją: „Tak, tak, majaczy. Widzi psa”. I kilkakrotnie zawołała po hiszpańsku: „psa, psa!”. W tym momencie siostra Valeria zrozumiała i uśmiechając się odeszła z pielęgniarką i strzykawką.

Ale hiszpańska siostra nie uspokoiła się. I dziś jeszcze powtarza każdemu, kto tylko chce jej słuchać: „pewnej nocy Malaparte zobaczył diabła, tak diabła”.

Malaparte znany był ze swego dowcipu. Pewnego razu, gdy ktoś zapytał go, dlaczego przybrał pseudonim Malaparte — w rzeczywistości nazywa się Kurt Erich Suckert — odpowiedział: „Bonaparte już był”. Dobry humor i dowcip nie opuszczał go nawet w chorobie. Gdy umieszczono go w namiocie tlenowym, powiedział: „Czy koniecznie panu zależy na tym, panie doktorze, bym umarł obojętnie?”

— Jest jeszcze tyle rzeczy — mówił dalej Malaparte — które ludzie powinni znać. Najprawdziwszych i najwznioślejszych. Możesz przyrzec, że wszystko to opowiem. Ale ważąc każde swoje słowo. Będzie to moja laicka spowiedź.

— W czasie tych pięciu dni była jedna noc, straszniejsza od wszystkich innych nocy. Zaczęło się to około północy. Ból był przejmujący, ohydny, nie do zniesienia. Pielęgniarki musiały założyć kraty na okna. Chciałem się zabić, aby więcej nie cierpieć. O drugiej nad ranem krzyczałem, wylem. Pielęgniarki za telefonowały do profesora. Wstrzyknięto mi silny środek znieczulający. Połowę dawki. Ja sam zażądałem tylko połowy, bo bałem się. I wówczas zdarzyła się cudowna rzecz. Czulem, jak ból odchodzi. Zwolna, ustępował wzdłuż mego ciała. Odrywał się ode mnie. A raczej to ja, to moje ciało wychodziło z bólu i przedstawiało go nieruchomym i pustym jak stara skóra węzów porzuconą wiosną. Następnej nocy zrobiono mi nowy zastrzyk, ale tym razem ból pozostał, nie chciał odejść.

Malaparte z zainteresowaniem śledził wszystkie zabiegi. W czasie choroby nabrał zamiłowania do medycyny, często kłócił się ze sławami lekarskimi na temat diagnozy i często to on miał rację. Nie wbił się jednak z tego powodu w pychę. „Lekarze mają tyłu chorych! Ja mam tylko jednego!”

W najbardziej krytycznych momentach zachowywał zimną krew. W czasie najbardziej bolesnych zabiegów stale panował nad sobą. Chcąc przezwyciężyć ból wydawał rozkaz: „Niech kapitan statku mechanicznego: Tlenu na 2 1/2! Tlenu na 3!”

— Pewnej nocy, gdy miałem już umrzeć — opowiada dalej — wprowadzono mi do żyły igłę, przez którą sączyło się serum fizjologiczne. Wiedziałem jaka ilość kropli na mi-

nucie powinna wpłynąć do mojej krwi. Liczyłem je a jeśli pilnująca aparatu pielęgniarka przestawała na chwilę uważać przestrzegając ją.

W czasie gdy Malaparte opowiada, dwie jego siostry, Maria Burchi i Mimma Ronchi pilnują by nikt mu nie przeszkadzał. Maria, którą brat opisał, gdy był jeszcze dzieckiem, w jednej powieści, dziś jest wysoka, chuda z czarnymi usianymi piegami. Ona to przyjmuje telefony i otwiera listy, których co tydzień przychodzi tysiące od moich i prostaków, od papieża i od starej chłopki z Toskanii. Ona również najbardziej jest wystawiona na napady złego humoru swego brata, gdyż Malaparte należał do najbardziej nieznośnych chorych.

W dniu urodzin — Malaparte skończył 50 lat — złożył mu wizytę najstarszy i najbliższy przyjaciel Aldo Borelli, który robił wszystko, by choremu niczego nie brakowało. Przez godzinę musiał słuchać wyrzutów.

— Wszyscy jesteście lajdakami! Wszyscyście mnie opuścili! Malaparte odyskuje spokojnie, gdy pozostaje sam z Vignolim.

— Będziesz moim świadkiem. Probowałem napisać to, co ci opowiadam. Nie mogłem. Ręka mi drżała. Żyję w zbyt wielkim napięciu, by móc utrzymać ołówek. Pomyśl: śpię w ciągu nocy z biedą dwie godziny.

Jest jeden temat, który najbardziej go pasjonuje i do którego stale powraca: metafizyczne znaczenie jego doświadczeń.

— Od pierwszych dni, gdy zachorowałem w Chinach miałem jedną pewność. Pewność, że z tego nie wyjdę. Pewność, że umrę. Było to głębokie przeświadczenie, zakorzenione w moim ciele lub w mojej krwi albo wreszcie w najtajniejszych kregach mej istoty. Ale obok tego przeświadczenia istniała we mnie inna pewność, że wyzdrowieję. Ta pochodziła z myśli i z umysłu. I tak jest jeszcze i teraz. Walki tej nie potrafią wyjaśnić żadne badania kliniczne i dezorientuje to wszystkich tych, którzy mnie leczą. Czuję, że toczy się ona we mnie ale nie potrafię powiedzieć, co zwycięży.

Pewnego jednak wieczora zdawało się, że walka się kończy.

— Poza ścianą namiotu tlenowego zobaczyłem twarz. Przyszły tłumnie asystować śmierci Malaparte. Najbliższą twarzą była twarz Borelliego, mojego starego przyjaciela. Wsunął ramię pod skrzydło namiotu i wyciągnął do mnie rękę. A ja ucpełem się tej ręki jakbym miał pazury. I mówiłem, I widziałem jak twarz mojego przyjaciela rozplywa się poza mgłą namiotu. Widziałem, z jakim wysiłkiem stara się zamaskować swoją rozpacz, wysiłkiem, od którego nabrzmiały mu muskuły na szyi, wysiłkiem, który zniekształcił mu szczękę. Nagle osłabił. Uciekł, nie chcąc bym widział, że płacze.

Malaparte zamilkł. A potem powiedział poważnie, ważąc każde słowo, jakby się chciał zwrócić do wszystkich żyjących:

— Jednej rzeczy jestem pewien, jednej rzeczy, którą poznałem w czasie agonii, że w śmierci jest się we dwoje. We dwoje się umiera. Umiera jeden obok drugiego.

TELEGRAMY TYGODNIA

MOSKWA. Tym razem pani Molotow nie przewodniczyła letniemu pokazowi mód w Moskwie, choć w ubiegłych latach było to jej zwyczajem.

MOSKWA. Pani Malenkow, śpiewaczka operowa, zamierza opuścić Wielki Teatr i poświęcić się wychowaniu trojga dzieci.

MONACHIUM. W ramach kampanii wyborczej Ollenhauer powiedział: „Jeśli socjaldemokraci dojdą do władzy, nastąpi zmiana polityki niemieckiej. SPD znieśli obowiązkową służbę wojskową i domagać się będzie utworzenia europejskiego systemu bezpieczeństwa.

BONN. Adenauer o konferencji rozbrojeniowej: „Wobec wielkiej liczby skom-

plikowanych problemów, będzie ona trwała jeszcze od jednego do dwóch lat. Ewentualne zwycięstwo wyborcze socjaldemokratów kanclerz określił jako „złoty wiek Niemiec”.

WASZYNGTON. Lherisson — były minister zdrowia Haiti, przebywający obecnie w Nowym Jorku, oświadczył, że w nocy z 15/16 czerwca br. wojsko rozstrzelało z pistoletów maszynowych na przedmieściu Port au Prince ponad tysiąc osób, grzebiąc ich następnie w dwóch wspólnych grobach. Według komunikatu rządu Haiti w czasie zamieszek zginęło tylko 50 osób.

HAMBURG. Znany dziennikarz Feddersen pisze: „22 lipca przybywa Mao Tse-tung do Warszawy. Udzieli on Polsce Gomułki, co prawda komunistycznej, ale już przebież zreformowanej, swoich referencji. Z trybuny europejskiej ogłosił on rozszerzenia Chin do współzawodnictwa i współdecydowania w polityce światowej”.

LONDYN. William Sexton depeszuje: „Harold Stassen stara się nawiązać tajne bezpośrednie rozmowy z Zorinem w celu przełamania punktu martwego, jaki nastąpił w rokowańach nad sprawą zaprzestania prób atomowo-wodorowych... Rokowania rozbrojenowe zmierzają w kierunku osiągnięcia wstępnego porozumienia”.

TOKIO. Żołnierz amerykański Girard, oskarżony o zabójstwo chłopki japońskiej, został oddany przez władze amerykańskie pod sądowictwo japońskie. Decyzja ta sprawiła wiele kłopotu prezydentowi Eisenhowerowi.

STUTTGART. „Stuttgarter Zeitung” pisze: „Od wstępu do Związku Radzieckiego, a obecnie również i Władysława Gomułkę, stwierdzają, że kto tknie się Odry-Nysy, ten igra z wojną”.

HANNOVER. Hannoversche Presse nawiązując do niedawnego przemówienia Ulbrichta w Rostocku stwierdza, że Ul-

bright chce neutralizacji Bałtyku... Współdziała on z Polską.

BONN. Dehler o swych wrażeniach z podróży po krajach Europy wschodniej: „Najtrudniej znaleźć jakieś ślady przemian w Czechosłowacji... Z rozmów z Tito, Popowicem i Vukmanovicem odniosłem wrażenie, że Jugosławia dzięki walorom osobistym swych przywódców znacznie lawiruje na wąskiej ścieżce między Zachodem i Wschodem... Do najciekawszych krajów należy Polska... Znalazłem tam pałace zainteresowanie dla zagadnienia stosunków z Republiką Federalną i dobrą znajomość spraw niemieckich... W Szwecji, Danii, Norwegii i Finlandii znalazłem zrozumienie dla zjednoczenia Niemiec, lecz było to traktowane nieco po akademicku”.

NOWY JORK. Typuje się pięć osób, które będą się ubiegały o stanowisko prezydenta USA w wyborach w 1960 r. Należą do nich: z partii demokratycznej — Lindon B. Johnson, Hohn F. Kennedy i

Hubert Humphrey z partii republikańskiej Richard M. Nixon i William F. Knowland.

BERLIN. Armia NRD liczy 117.000 żołnierzy, w tym policja graniczna 46.000, rezerwa policyjna 26.000.

BONN. Organizatorzy wyborów zachodnio-niemieckich mają poważne kłopoty w związku ze stanem zdrowia kanclerza. Nie chce się go po prostu zbyt nadwierać, dlatego też kanclerz będzie przemawiał nie dłużej jak 30 minut.

MONACHIUM. Bońskie ministerstwo finansów zamierza w przyszłości opracować dwie wersje budżetu ministerstwa obrony: jedną dla komisji parlamentarnych, drugą zaś — odpowiednio sformułowaną — dla plenum Bundestagu i wiadomości publicznych.

KOLONIA. Kuzyn ostatniego prezydenta Rzeszy — marszałka Hindenburga — Albert Hindenburg kandyduje na liście stronnictwa przesiedleńców BHE. Albert Hindenburg jest wydawcą.

KULISY FWP.

Dziennikarze to także ludzie i czasami potrzebują wypoczynku. Zwłaszcza po ostatnim półroczu, które nie należało bynajmniej do bezczynnych. Dziennikarze to także ludzie... nienajlepiej zarabiający. Z gruntu fałszywe są legendy o bajkowych honorariach i pensjach. Od szeregu lat w ciągu których zarobki różnych grup zawodowych zwykły, żadnej podwyżki pieniężnej nie zanotowano w tym zawodzie. Natomiast zwiększyła się wydatnie ilość pracy. Proszę nie zapominać, że dziennikarz pracuje często cały dzień, a nawet szereg godzin nocnych, a praca dziennikarska nie należy najłatwiejszej ani do łatwych ani do przyjemnych. Zarobki większości szarych pracowników prasy, tych co to codziennie informują społeczeństwo o tym co dzieje się w kraju i zagranicą, są raczej skromne i wcale nie przekraczają średnich zarobków wykwalifikowanego robotnika czy inżyniera. Ale nie o to mi chodzi żeby występować w tej chwili z jakimś apelem o uznanie dla pracy dziennikarza.

Po prostu urlop dziennikarski, zasłużony dziennikarski wypoczynek, odsłonił rąbek kulis sprawy znacznie szerszej, żywo interesującej, całej społeczności i dlatego napisałem ten felieton. Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich, aby zapewnić swym członkom godziwy wypoczynek, skorzystało z uprzejmości Funduszu Wczasów Pracowniczych i zawarło z tą wielce szanowną instytucją umowę. Dziennikarze mieli za opłatą 50 złotych dziennie korzystać z pensjonatu w Zakopanem. I zaczęli korzystać. Coraz więcej osób ze wszystkich miast Polski zajeżdżało do luksusowego Janosika i coraz większy głód panował w tymże pensjonacie. Głodować za pięćdziesiąt złotych dziennie to już jakoś nie uchodzi. Wielu dziennikarzy usklać się było trochę pieniędzy aby móc płacić tę, bądź co bądź, nie najmniejszą sumkę — a tu dostają zarcie, którego wstydziłyby się najgorsza garkuchnia. Zaczeli więc dochodzić dlaczego się tak źle dzieje. I kto jest winien

zmarnowaniu przepięknych urlopowych dni. Samą pogodą człowiek nie żyje.

Wyszły na jaw rzeczy co najmniej zaskakujące. Oto kierownicza pensjonatu Janosik z ramienia FWP otrzymuje na wyżywienie jednej osoby tylko dwadzieścia złotych dziennie.

— A gdzie się podziewa pozostałe 30 złotych?

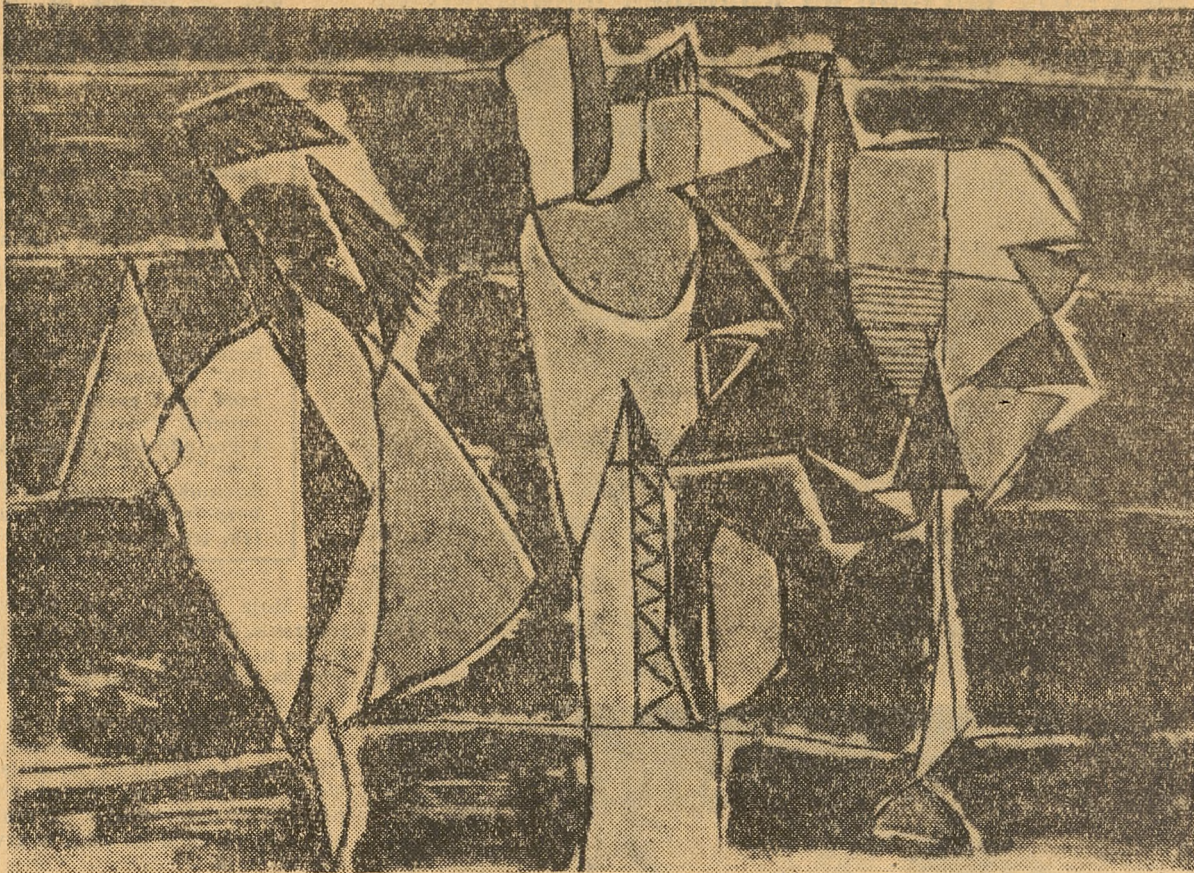
— Jakto gdzie — dziwią się przedstawiciele z FWP — a administracja to za darmo?

— Że też ludzie po co najmniej średnim wykształceniu i orientujący się z grubsza w sytuacji mogą tak strasznie rozrabiać — skarżyła się kierownicza „Janosika”, gdy dziennikarze twardo zaczęli się upominać o swoje pieniądze. A ludzie ci tylko o to mieli pretensję, że 60 procent wpłacanej przez nich sumy idzie na cele bliżej nieokreślone. — Co to znaczy administracja? — pytali nawiennie.

— Spytaście się tych z góry FWP — tych najlepiej zarabiających, dlaczego mnie się czepliacie — zawołała kierownicza „Janosika” i kto wie czy nie miała racji. Po czym zachorowała na kilka dni.

Proszę mnie nie posądzać o jakieś osobiste pretensje pod adresem instytucji wczasów pracowniczych. Nie mieszkałem w „Janosiku”. — Historię tamtejszej głodówki znam z relacji kolegów i z rozmowy z kierowniczką. A wnioski? Obawiam się, że cała gospodarka funduszu wczasów oparta jest na takich zasadach jak gospodarka w „Janosiku”. To znaczy: zaledwie nikiły procent wpłacanych przez obywateli i państwo sum idzie na właściwe koszty utrzymania wczasowicza. Większość pochłania tajemnicza administracja. A więc? Jeżeli wczasy w swej dotychczasowej postaci nie zdały egzaminu trzeba pomyśleć o jakiejś innej ich formie. Jakiej? Warto by podyskutować. Czekamy w tej sprawie na wypowiedzi Czytelników. A także na wypowiedź FWP. Niestety ostatnimi czasy instytucje zbyt często zapominają o konieczności odpowiedzi na krytykę prasową. I to jest jeszcze jeden jakiś najogólniejszy wniosek z całej tej historii. (ah)

— ADAM MARCZYŃSKI: PRZELOT (1956)



ARTYŚCI-MALARZE
I GRAFICY Z CAŁEGO
ŚWIATA BIORĄ UDZIAŁ
W II MIĘDZYNARODOWEJ
WYSTAWIE GRAFIKI
W LUBLJANIE
POLSKĘ REPREZENTUJE
SZESZCIU ARTYSTÓW

Nagrody otrzymali:
ADAM HENRI GEORGES
(Francja)
MUSIC ZORAN
(Szkola paryska)
KONOW JURGEN (Szwecja)
SAITO KIYOSHI (Japonia)
SANTOMASO GIUSEPPE
(Włochy)
DEBENJAK RIKO
(Jugosławia)
Z POLAKÓW ZOSTAŁ WY-
RÓŻNIONY ARTYSTA MA-
LARZ A. MARCZYŃSKI



WINTETA PLAKATU I ZAPROSZENIA NA
WERNISAZ II MIĘDZYNARODOWEJ WY-
STAWY GRAFIKI W LUBLJANIE (JUGO-
SLAWIA).

NASZE ROZMOWY

O chorobach dzieci mówi prof. dr Tadeusz Giza

P. Jakie choroby dzieci potęgają się w okresie upałów letnich? Jaką profilaktykę należy stosować?

O. W porze letniej nasilają się przede wszystkim biegunki niemowlęce. Występują one u nas masowo w okresie upałów, w związku z czym organizuje się rokrocznie specjalną akcją t. zw. pogotowie biegunkowe. Należy podkreślić, że na Zachodzie problem biegunek letnich praktycznie nie istnieje.

Niestety u nas zjawisko to występuje z roku na rok. Źródłem biegunek jest w pierwszym rzędzie zakażenie, przy czym nieodpowiednie żywienie dzieci, złe warunki sanitarno — higieniczne, ciągle jeszcze niski poziom uświadczenia matek — mają tu wpływ zasadniczy. Upały z jednej strony sprzyjają psuciu się pokarmów, z drugiej obniżają zdolność tolerowania ich przez ustrój niemowlęcy.

W wypadku stwierdzenia ostrej biegunki należy dziecko bezwzględnie przekazać opiece lekarskiej. Stany te bowiem są często bardzo groźne i kończą się śmiertelnie. Celem ich uniknięcia należy zabezpieczyć dziecko, na długie miesiące przedtem, odpowiednimi środkami zapobiegawczymi, jak: osobistą higienę, dostateczną ilość płynów nawadniających, odpowiednie dostateczne ilościowo i jakościowo pożywienie, dobre warunki bytowe — mieszkaniowe, szeroki kontakt z przyrodą, dla dzieci starszych uczestnictwo w koloniach i ośrodkach. Wymarzonem do tego celu miejscem była dawniej Rabaka, ostatnio wykorzystana niemal wyłącznie do leczenia gruźlicy.

Czołnym a przecież przysłowiowym zjawiskiem w naszym mieście jest zamieszczenie ulic, placów, parków i podwórz domów.

Odczuwamy brak nowych antybiotyków, tym dotkliwszy, że w stosunku do posiadanych bakterie w dużej mierze się uodporniły.

MEDYCyna

P. Które z chorób dziecięcych występują u nas najczęściej?

O. Trzeba powiedzieć, że cały szereg chorób spotykanych gdzieś indziej tylko sporadycznie, u nas występuje nagminnie. Tu należy krzywica i choroby z niedoborów żywnościowych, przede wszystkim awitaminowych. Do prawdziwych plag w skali społecznej należy gościec i niestety — ciągle jeszcze — gruźlica. Klasyfikację krzywicę związaną z niedoborem witaminy D i światła spotyka się na Zachodzie rzadko. Podobnie gnilec (szkorbut) należy do chorób znanych jedynie z opisów książkowych. Tymczasem jeszcze w tym roku mieliśmy w leczeniu przypadki w pełni rozwiniętych awitaminoz, jak np. beri-beri w rozmianach spotykanych jedynie na Dalekim Wschodzie.

P. Na czym polegają — zdaniem p. Profesora — najczęstsze błędy popełniane w żywieniu naszych dzieci?

O. Przede wszystkim na jednostronnym karmieniu węglowodanami, niedoborze białka lub przesadnym żywieniu mlekiem. Np. niemowlęciu podaje się mleko sproszkowane, cukier rafinację i mąkę z najwyższego przemiału, pokarm nie przedstawiający poza koloryczną prawie żadnej wartości odżywczej, pozbawiony witaminów i wysokowartościowego białka. Albo też odżywia się je w ciągu pół roku lub dłużej wyłącznie mlekiem krowim, doprowadzając do stanu niedożywienia tzw. „szkody mlecznej”, połączonej ze znaczną niedokrwistością. Również wyłącznie i zbyt długie karmienie mlekiem kobylicym prowadzi może do wyniszczenia dziecka, wywołanego niedoborem białkowym, znanego na południu jako „kwashiorkor”.

Nie posiadamy ciągle niezbędnych dożywek niemowlęcych jak np. soku i skutecznych w leczeniu niestrawności trudno fermentujących cukrów, przetworów sernikowych, dobrego mleka sproszkowanego i preparatów pektynowych. Dotąd — mimo nawoływania — nie zajęto się wykorzystaniem owoców dzikiej róży (szyszyny), najbogatszym u nas



ADAM MARCZYŃSKI: KOMPOZYCJA (1956)

naturalnym źródłem witaminy C. Nie sprowadza się bananów, chleba świętojańskiego ani przebogaty w witaminy orzeszków ziemnych. Mimo szeroko rozbudowanych różnych instytucji „opiekuńczych”, dotychczas nie zdołano zainteresować przemysłu farmaceutycznego produkcją przeznaczoną dla chorego dziecka.

P. Co wg p. Profesora należy zrobić, aby uzyskać radykalną poprawę na tym odcinku i aby nasz przyrost naturalny był zdrowy?

O. Skończyć ze sloganami i przystąpić do rzetelnej akcji nacechowanej prawdziwą troską o chore i zdrowe dziecko. Ukrócić biurokrację.

Lekarzy z zielonych stolików wysłać w teren, by otoczyli należytą opieką polskie dziecko.

Zwrócić uwagę dzieciom, poprawiając warunki bytowe rodzin na tyle, by nie zmuszały do zarobkowania obojga rodziców. Na ten cel przełać część funduszy pochłanianych przez niektóre przesadne a niepotrzebnie rozbudowane instytucje nadzorcze, utrzymujące nadmierne aparat administracyjny i wyżywające się w pracach papierkowych w oderwaniu od życia i od właściwego przedmiotu zainteresowania tj. chorego dziecka. Zapobiegać dokwaterowaniom notorycznie chorych ludzi do zdrowych i odwrotnie. Roz-

toczyć czujniejszą opieką nad tzw. punktami zbiorowego żywienia. Nie dopuszczać, by ludzie chorzy (np. gruźlicy) z obawy, że po wyczerpaniu świadczeń znajdują się bez zabezpieczenia, tając swój stan pracowali razem ze zdrowymi.

Skończyć z ciągłym mieszaniem ludzi, ograniczając do minimum różne masówki, narady robocze itp.

Zmieniając w ten sposób styl naszego życia poprawimy warunki bytowe naszych dzieci a ojczyźnie zabezpieczymy zdrowy przyrost naturalny.

Rozmawiał
MIKOŁAJ KUPLOWSKI

Oby to nie była fata morgana

Choć żyjemy w epoce radia i telewizji, ciągle jest u nas problemem dla szarego obywatela nabycie wysokiej klasy radiodiodniarki, nie mówiąc już o telewizorze, który zna on wciąż tylko z ilustracji w czasopiśmie albo co najwyżej z takiej imprezy jak Targi Poznańskie. Jeszcze kiedyś, pamiętamy to dobrze, radiodiodniarki można było kupować u nas tylko na talony i to najczęściej takiej marki, jaka przyszła w danym momencie do handlu. Dziś o tyle jest lepiej, że wprawdzie talony należą już do przeszłości, ale amator dobrego radiodiodniarki musi, niczym myśliwy, czatować w sklepach radiowych, aż zjawi się wymarzony przez niego aparat.

Oto choćby niedawno przyszło do Krakowa kilkadziesiąt aparatów marki „Stolica”, kilka aparatów niemieckich „Stern” i „Undine”; nie minęło parę dni i cały ten transport zniknął z półek sklepowych i dziś już pozostali na nich tylko „Pioniery” i „Mazury” — tudzież aparaty turystyczne. Dlaczego właśnie turystyczne? Przecież to raczej lakomy typ radiodiodniarki? Otóż dlatego, że niech coś w takim aparacie, jak to się mówi popularnie, nawali, a wówczas biada jego właścicielowi, nie tak prędko dostanie potrzebne części zamienne. Częśći zamienne. Otóż właśnie w nich tkwi klucz do rozwiązania problemu braku na rynku wysokiej klasy radiodiodniarek. Również i nasz przemysł radiotechniczny cierpi na swego rodzaju chorobę dysproporcji. Z jednej strony na wyrost powstawały zakłady montażowe radiodiodniarek, a z drugiej nie nadążały w rozwoju zakłady produkujące poszczególne elementy nieodzowne przy montażu odbiorników radiowych, tzw. podzespoły. W rezultacie ani aparatów nie było wskutek tego dosyć na rynku, ani tym bardziej nie było odpowiedniej ilości podzespołów, które by umożliwiły szybką ich naprawę.

W perspektywie najbliższych lat będzie więc położony większy nacisk na rozwój za-

kładów, tzw. podzespołów telekomunikacyjnych, które zabezpieczą dostateczną bazę techniczną dla wykonania ambitnych planów produkcji radiodiodniarek i telewizorów. Dzięki temu w niedługim czasie daleko zdolamy odbiec od obecnej cyfry produkcji radiodiodniarek 700 tys. rocznie, jeśli zważyć, że w roku 1965 wyprodukujemy ich 1.200 tys.

Ale nie same cyfry ilustrują rozwój naszego przemysłu radiotechnicznego. Ważniejszy od cyfr jest fakt, że zwiększy się poważnie ilość typów produkowanych aparatów, podczas gdy dotychczas pod tym względem nie mieliśmy dość bogatego sortymentu i raczej przeważały w produkcji radiodiodniarki niższej klasy. Oto w roku 1965, bo tak daleko sięga w tej chwili planowanie w tym przemyśle, produkować będziemy co najmniej kilkanaście typów radioaparatów począwszy od małych kieszonek, a skończywszy na aparatach z magnetofonami i telewizorami. Produkcja telewizorów w tym docelowym roku powinna wyrazić się cyfrą 400—500 tysięcy.

Warto tu zaznaczyć, że szybciej od produkcji radiodiodniarek będzie rozwijać się produkcja części zamiennych, co uchroni wreszcie naszych nabywców od wszelkich perypetii związanych z naprawą aparatu.

A więc horoskopy pomyślne, ale horoskopy to jeszcze nie rzeczywistość, to jeszcze nie pewność. Już nieraz byliśmy świadkami, gdy ambitne, olśniewające plany brały w łeb. Gdy pozostawały tylko na papierze. A więc wszyscy kandydaci na posiadaczy dobrych radioaparatów i telewizorów, cieszyć się, ale raczej ostrożnie. Może już niedługo półki naszych sklepów radiotechnicznych w dużych i małych miastach piętrzyć się będą od wielu typów radiodiodniarek i telewizorów. Oby ta obiecująca wizja jak najprędzej przestała być wizją, a stała się rzeczywistością.

B. M.

HISTORIE

I NIE WÓDŹ NAS NA POKUSZENIE (IV)

R. Oppenheimer obliczał liczbę zabitych przy zrzuconiu bomby atomowej na 20.000. W warunkach wojny było to w pewnym sensie usprawiedliwione, ale śmierć 140.000 mężczyzn, kobiet i dzieci w Hiroszimie była czymś tak potwornym, że wstrząsnęła do głębi sumieniami większości fizyków atomowych. Oppenheimer proponował, aby rząd USA oddał z powrotem Los Alamos... Indianom. Po jego wystąpieniu większość fizyków opuściła Nowy Meksyk, powracając do swych uniwersytetów. Większość z nich przysięgała, że nie dopuści do ponownego użycia bomby atomowej. W wielu uniwersytetach powstały Komitety, które alarmowały opinię publiczną i kierowały swe petycje do Kongresu USA.

KOMISARZ ATOMOWY STRAUSS

Pod wpływem nacisku uczonych Truman i Kongres oddali sprawę energii atomowej w ręce pięciorosobowej „Atomie” Energy Commission (AEC), która miała kierować dalszymi badaniami. Komisji dodano ciało doradcze, które składało się z dziewięciu naukowców i ekonomistów. Obydwoma zespołami kierowali zaprzyjaźnieni ze sobą i wyznający podobne poglądy: Dawid Eli Lilienthal (AEC) i J. Robert Oppenheimer. W tym czasie obydwaj zgadzali się, że wobec zakończenia wojny należy dalsze próby konstrukcji bomby atomowej zatrzymać. Obydwa ciała składały się z cywilów. Nie podobano się to ani politykom ani przedstawicielom armii. Wkrótce rozpoczął się atak. Senator Robert Taft zaatakował oboje Lilienthala, że jest „za miękki” w stosunku do komunizmu i ZSRR a jego osobą jako przewodniczącym AEC jako „zagrożeniem bezpieczeństwa Ameryki”. Armia czekała tylko na okazję. Wiosną 1949 Groves, generał atomowy, odkrył, że z jednego z laboratoriów AEC zniknęło trzy i pół grama uranu. W laboratorium tym pracował emigrant z Wiednia Hans Freis, który od wielu lat był członkiem KP. Sprawa ta wywołała duże wrażenie w opinii publicznej Ameryki i została oczywiście przez Grovesa i znajomego mu senatora Hickenloopera rozdmuchana do olbrzymich rozmiarów. Senat wszczął śledztwo przeciw Lilienthalowi, a Hickenlooper zażądał jego zwolnienia. Największym jednak oponentem Lilienthala i Oppenheimera okazał się nie senat ale członek AEC Lewis L. Strauss.

Strauss był współwłaścicielem jednego z największych przedsiębiorstw Ameryki „Kuhn, Loeb and Co”, które już w roku 1935 kontrolowało ponad pięć procent dochodu USA. Kiedy Lilienthal i Oppenheimer uchodzili w opinii za tolerancyjnych socjalliberalów, którzy wprowadzili zastrzeżenia ale jako nieuniknioną konieczność traktowali rosyjską rewolucję, to Strauss był najaktualniejszym przeciwnikiem komunizmu i ZSRR. Tak więc w AEC stali po jednej stronie Lilienthal i Oppenheimer, po drugiej Strauss, ludzie w których ucieleśniały się wewnętrzne i zewnętrzne sprzeczności Ameryki i Zachodu.

W tym czasie ujawniła się sprawa, która ponownie wywołała w kołach atomowych konflikt, konflikt władzy i sumienia.

„JOE I”

W ostatnich dniach sierpnia 1949 roku wystartowała z jednej z baz amerykańskich na Dalekim Wschodzie czterometrowa superforteca do przepisywania lotu ponad Pacyfikiem. Maszyna wyposażona była jako „latające laboratorium”. Wewnątrz jak i na skrzydłach miała wmontowane bardzo czułe klisze fotograficzne, które rejestrowały siłę promieniowania na różnych wysokościach atmosfery. Loty tych czterometrowych laboratoriów służyły badaniom promieni kosmicznych, które z przestrzeni wszechświata dochodzą do ziemi. Klisze fotograficzne, które powróciły z tego lotu, wykazywały jednak ślady, które nie pochodziły z wszechświata. Amerykańscy uczeni odczytali z nich wiadomości, które... Delikatne linie pochodzące od promieni kosmicznych pokryte były śladami, które wskazywały na niespodziewa-

ny wzrost radioaktywności w atmosferze.

To mogło oznaczać: gdzieś nastąpił wybuch bomby atomowej. A „gdzieś” mogło tylko znaczyć: Gdzieś w Syberii. Uczeni niedowierzali. Wydarzenie, które odczytali z klisz, według wszelkich obliczeń, przyszło za wcześnie. Zaalarmowane siły lotnicze rozpoczęły śledzić... promieniowanie. Specjalne samoloty pędziły za tymi promieniami aż do Australii, zbierały na klisze najmniejsze ślady, które analizowano gorączkowo w laboratoriach komisji atomowej. W końcu naukowcy, politycy i stratedzy USA stanęli wobec faktu: Rosjanie o wiele lat wcześniej niż przypuszczano złama- li monopol Ameryki w dziedzinie bomby atomowej; a poza tym — jak wskazywały wyniki analizy — znacznie Amerykę wyprzedzili. Konstrukcja „Joe I” — jak nazywano w raportach rosyjską bombę atomową — była daleko więcej lepsza i silniejsza aniżeli pierwszej bomby amerykańskiej. Jej siła była sześciokrotnie większa od bomby uranowej, która zniszczyła Hiroszimę.

„SUPER-BABY”

Wiadomość o rosyjskiej bombie atomowej wywołała w kołach fizyków i w AEC prawdziwą panikę. Pierwszą reakcją Straussa na tę wiadomość było ogłoszenie następującego ostrzeżenia: „W chwili kiedy Sowieci będą posiadali tyle bomb atomowych, ile potrzebują, Kreml uderzy. Przy tym jest zupełnie obojętne, czy USA ma 1.000 albo 100.000 więcej bomb aniżeli nieprzyjaciel”. Strauss sądził, że Stalin nie cofnie się nawet przed zniszczeniem Rosji, aby tylko zniszczyć Amerykę.

Wśród członków komisji atomowej Strauss miał największą panikę. Inni uczeni, zwłaszcza Lilienthal nie podzielali jego zdania. Strauss jednak dążył do zbudowania superbroni. W tym czasie przypomniał sobie o pewnym memoriale, który od dawna leżał pogrzebany w aktach AEC. Memoriał dotyczył budowy bomby wodorowej, a napisał go emigrant węgierski, fizyk Edward Teller. Zagadnieniem budowy bomby wodorowej zajmował się Teller już od 1942 roku, kiedy to Oppenheimer zaprosił go wraz innymi kolegami na dyskusję na temat — jak zużytkować energię słońca na ziemi. Cząstką stale rozmyślał nad swym „super-Baby” — jak nazywał bombę wodorową. Ani u Oppenheimera ani też u swych kolegów Teller nie znajdował równych sobie entuzjastów dla bomby wodorowej. Sam Oppenheimer uważał sprawę za przedwczesną, a wobec zniszczenia, jakiego dokonała bomba atomowa, nie spieszył się ze swym udziałem.

Strauss jednak nie przestawał działać. Żądał on, aby AEC postawił wszystkie swe siły dla budowy bomby wodorowej. Senator Brich Mc Mahon, przewodniczący komisji atomowej senatu, wezwał członków AEC do siebie, pytając — co się dzieje z „super”. Kiedy członkowie komisji twierdzili, że to jest bardzo długoterminowy program, Mc Mahon oświadczył, że jemu wydaje się to niepojęte, aby trzymać w aktach AEC plany, które może już Rosjanie w najbliższym czasie zrealizują. Posiedzenie komisji doradczą AEC zostało naznaczone na 29 października 1949 roku. Narady pod przewodnictwem Oppenheimera trwały cały dzień. Wieczorem tego samego dnia Mc Mahon zamówił rozmowę blyskawiczną z Edwardem Tellerem, który przebywał wówczas w Los Alamos. „Edward” — powiedział — „mam dla ciebie straszną wiadomość”. Kilka godzin później Teller wsiadał do samolotu, który odbywał nocny kurs do Waszyngtonu. Fizycy atomowi pod przewodnictwem Oppenheimera jednogłośnie odrzucili program blyskawicznej budowy bomby wodorowej. Mimo to w trzy lata później, 1 listopada 1952, eksplodowała pierwsza bomba wodorowa, skonstruowana według planów Tellera.

7 listopada 1953 sekretarz Mc Mahona wystosował list do biura amerykańskiej policji kryminalnej, w którym m. in. pisał: „Po długotrwałych badaniach tajnych materiałów mamy podstawę do przypuszczenia, że J. Robert Oppenheimer naiprawdopodobnie jest agentem Związku Radzieckiego”.

c.d.n.

NAUKA

Rewelacyjne wyniki w walce ze starością

stawy typowa dla podeszłego wieku. Również pamięć i spostrzegawczość uległy poprawie. Wreszcie, w 1951 roku wraz z członkiem Akademii Nauk C. J. Parhonom przeprowadzono systematyczne badania wśród wydzielonej z Instytutu grupy 25 starców, którym zaczęto wstrzykiwać nowokainę. W ciągu 2 lat tej kuracji nie zmarł ani jeden z badanych, mimo, że wśród nich byli pacjenci w wieku 92 lat życia i więcej. Na przykład najstarszy pacjent Instytutu nazywa się Parsek Margosian i liczy sobie 109 lat. Był on robotnikiem portowym w Konstancy. W 1953 roku przywieziono go do Instytutu w stanie głębokiej depresji.

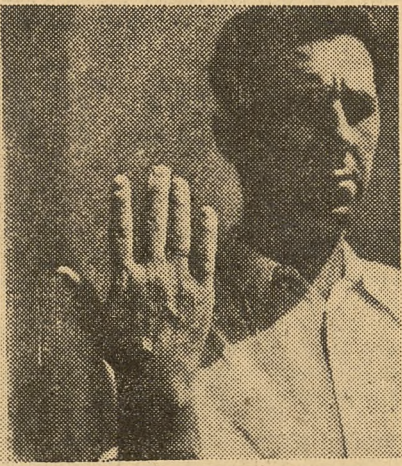


Ręce jego drżały, skóra była ciemna, brak uwłosienia na głowie. Obawiał się sam wyjść z pokoju, w którym zamieszkał. Dzisiaj po 3 latach kuracji, Parsek ożywiony i w dobrym humorze opowiada dużo przygód ze swej młodości. Odzyskał pamięć, skóra jego wyjaśniała, głowa pokryła się gestym uwłosieniem. Poza tym, uprawia samodzielne przechadzki w najbliższej okolicy Instytutu.

Obecnie na 180 starców przebywających w Instytucie, 125 podlega kuracji nowokainowej. Ponadto w leczeniu ambulatoryjnym profilaktycznym znajduje się 1017 osób w wieku od 45 do 50 lat życia.

Leczenie polega na trzykrotnym w ciągu tygodnia wstrzykiwaniu 5 cm³

nowokainy 0,1 g (witamina H3), przez okres 4 tygodni. Po 10 dniach przerwy kurację się powtarza. Nowokaina posiada też dodatni wpływ przy owrzodzeniach żołądka i niedoborze pigmentu w skórze (Vitiligo), liszajach i wypadaniu włosów. Poza tym, nowokaina działa korzystnie na centralny system nerwowy oraz na działalność gruczołów wewnętrznego wydzielania. Podkreślić również należy, że nowokaina ulega w organizmie przemianie na dwa związki chemiczne, z których jeden stanowi kwas paraaminowy (nazwany witaminą H1 lub też H2). Jednak wyniki otrzymane przy zastosowaniu witaminy H3 są bar-



dziej wybitne, niż w wypadku witaminy H1. Ażeby to działanie witaminowe nowokainy wyodrębnić, prof. dr Aslan proponuje nazywać ją witaminą H3.

Skuteczność działania nowokainy w wieku 40 do 45 lat poprawia stan fizyczny i psychiczny i zapobiega objawom starzenia się. Dotychczas przeprowadzone badania wzmocniły pogląd Akademika C. J. Parhona, że starzenie się jest chorobą, którą można i powinno się leczyć. Potwierdził ten pogląd wyniki badań przeprowadzonych w bukaresteńskim Instytucie, a ponadto już dzisiaj upoważniają one do przyjęcia postulatu, że życie ludzkie może i musi być przedłużone.

Opracował

JERZY KWIETNIEWSKI

ABC SZTUKI

NOWOCZESNEJ

Adam Kotula
Piotr Krakowski

(11)

KUBIZM ANALITYCZNY

Jest to faza malarstwa kubistycznego obejmująca okres mniej więcej od roku 1909 do 1912/13, którą jednakże już nieco wcześniej zapowiadają pierwsze kubistyczne pejzaże Picassa i Braque'a. Charakterystyczne dla tej fazy jest gwałtowność i siła środków wyrazu — ekspresja, w porównaniu z którą twórczość fowistów, wraz z ich deformacją, wydaje się bardzo spokojna i uporządkowana.

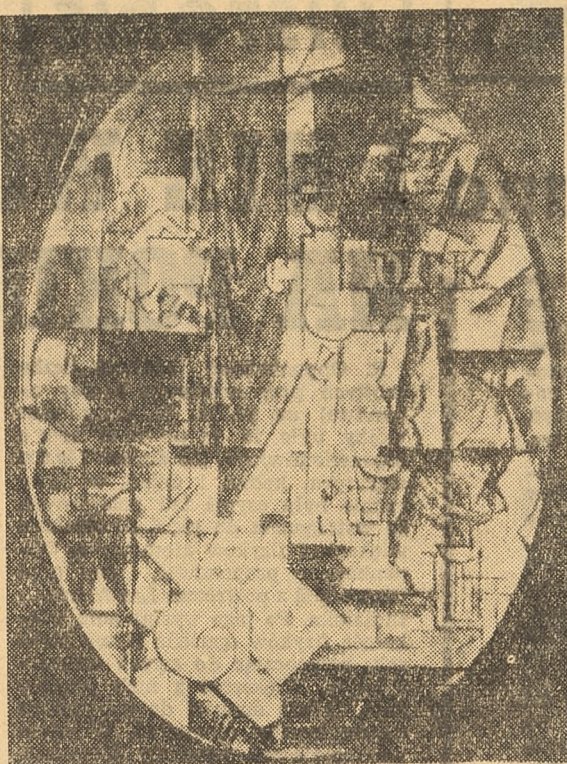
Ten swoisty „ekspresjonizm” początkowej fazy kubizmu krytyka łączy zazwyczaj z plastyką murzynską, która w owym czasie fascynowała niektórych malarzy. Ale podczas gdy plastyka afrykańska była całkowicie spętana symetrią — to twórczość Picassa, Braque'a, Legera zachwiała wszelkimi podstawami statyki w obrazie. Malowane przez nich twarze, ciała, linie określające krajobraz zostały gwałtownie przesunięte, uzyskując niespotykany dotychczas dynamizm. Sześciany, pryzmy, piramidy, z których kubiści budowali obraz nie zostały położone w sposób nieruchomy, ale poruszały się niejako w ruchu. Znajdujemy tutaj dużo cech wspólnych z futuryzmem, dla którego ruch stał się czynnikiem podstawowym.

W początkowym okresie kubistycznego malarstwa, zwanym przez niektórych krytyków kubizmem fizycznym, artyści geometryzują formy przedmiotów, sprowadzając je do najprostszych brył — wielościanów, walców, stożków i kul, odrzucając zarazem zasady klasycznej perspektywy. „Zawsze starałem się usunąć z moich obrazów nieskończoność — pisze Braque. — Nie tylko porzuciłem wszelką zasadę perspektywy biegnącej w głąb obrazu ale nawet w pewnym okresie chciałem wyjść z głębi płaszczyzny do tego by obraz szedł ku widzowi, ślad zmienia profilu ram”.

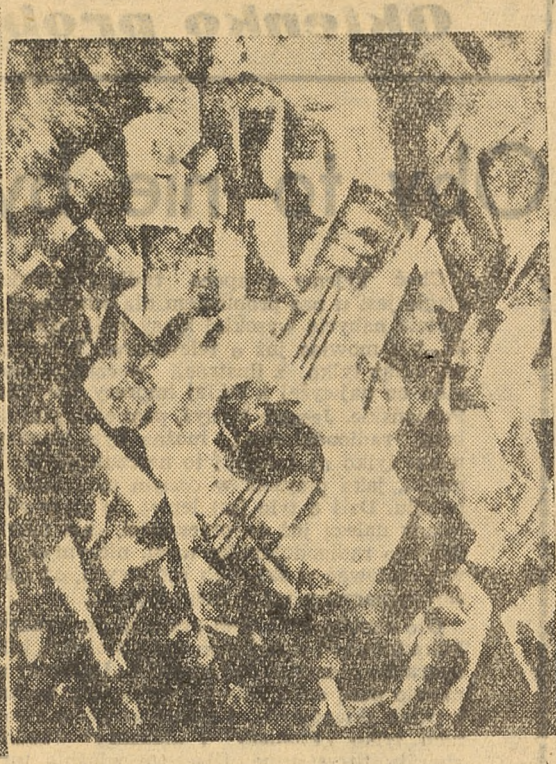
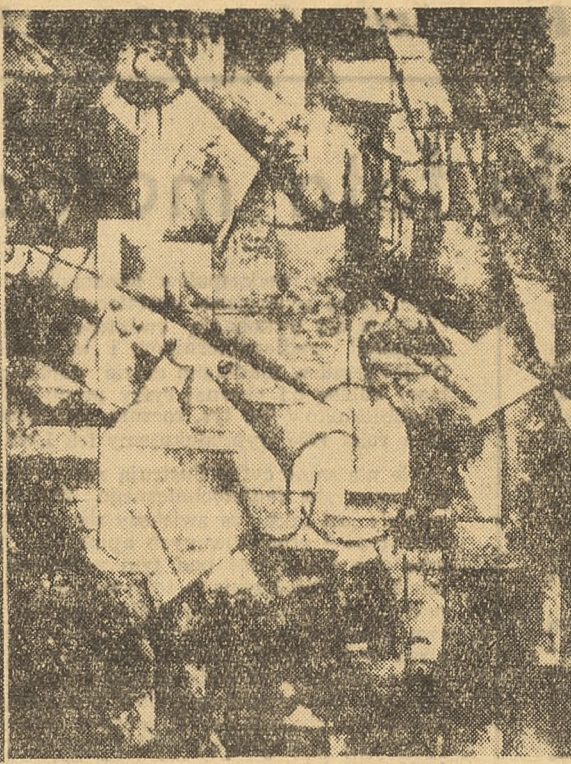
Idąc w ślady Cezanne'a kubiści uważali, że kolor jest ściśle związany z formą. „Każdemu załamaniu formy odpowiada zmiana barwy; każda zmiana barwy rodzi formę” — piszą Gleizes i Metzinger w rozprawie „O kubizmie”. Istnieją kolory, które nie dadzą się pogodzić z pewnymi liniami. Są powierzchnie, które nie mogą znieść „czystych barw”. Modelunek bryły zostaje więc wyrażony drobnymi płaszczyznami barwnymi o formach geometrycznych. W parze z ograniczeniem roli koloru na rzecz rysunku szło przygaszanie barw; w paletcie kubiści zaczęły przeważać tony neutralne, nie, szare, beżowe, brązowe, zielonkawe, czarne, białe. Obrazy kubiści stają się coraz bardziej monochromatyczne. Połączenie rysunku z kolorem jest zresztą całkowicie dowolne, podporządkowane wyłącznie pewnym z góry założonym koncepcjom kompozycyjnym.

W dalszej fazie wprowadzając do malarstwa w miejsce zjawisk pojęcia, w miejsce przedmiotów oglądanych przedmioty pomyślane, w ich pełnej, całkowitej formie, tak jak je przedstawia sobie myśl, kubiści konstruują nową przestrzeń, która pozwala im ukazać na płaszczyźnie płótna równocześnie wszystkie aspekty przedmiotu (symultaniczność). W miejsce perspektywy rzeczywistej wprowadzają więc perspektywę wyobrażoną, w której zanika granica między przedmiotem a jego otoczeniem, w której plany przestrzenne zostają sprowadzone do jednej płaszczyzny. W tej fazie — analitycznej — kubiści ukazują przedmioty oglądane ze wszystkich stron, nie uwzględniając zazwyczaj deformacji perspektywicznej oraz „zanikaną” pewnych części przedmiotu niewidzialnych dla oka jeśli patrzy się na przedmiot z jednego punktu. Bryła przedmiotu zostaje rozłożona na elementy składowe, niejako rozwinięta na płaskiej powierzchni płótna. Poszczególne formy uzyskują wygląd „kryształów” o ostrych krawędziach, oko malarza jakby wnikało w substancję przedmiotu, w jego różne właściwości, analizując jego ruch, jego aktywność. Zaznacza się to w formach pryzmatycznie lamujących się i przenikających się płaszczyzn.

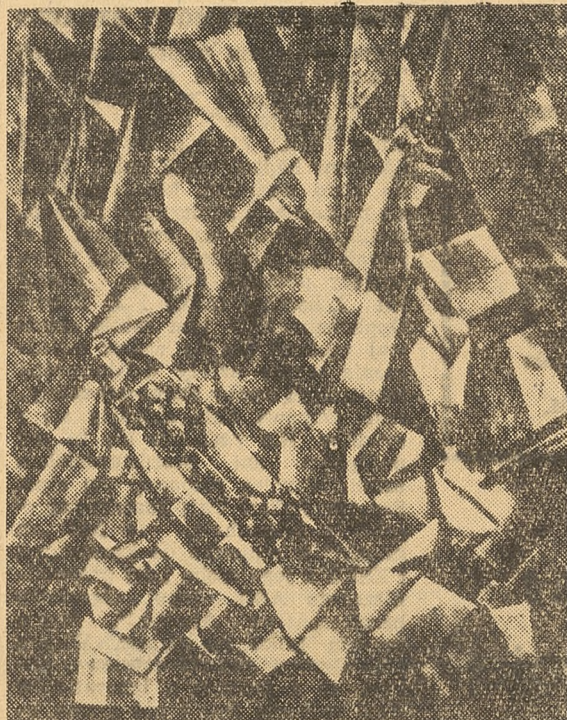
Obrazy kubiściów okresu „analitycznego” cechuje rozbiście kształtu przedmiotu. Jednakże rozbiście to nie niosło w sobie pierwiastków nihilizmu. Wręcz przeciwnie kubiści starali się wnieść w dotychczasowy dorobek artystyczny swój nowy, pozytywny wkład. W oparciu o wiedzę o otaczającej nas rzeczywistości i z jej pomocą, odkrywali nowe formy, nową samodzielną istniejącą przestrzeń, nowy świat, który zawierał w sobie dużą dawkę liryzmu i poetyckiej baśniowości. I tutaj kubizm analityczny bardzo istotnie różni się od sztuki Cezanne'a, który wyraźnie trzyma się realnego, wziętego z natury przedmiotu.



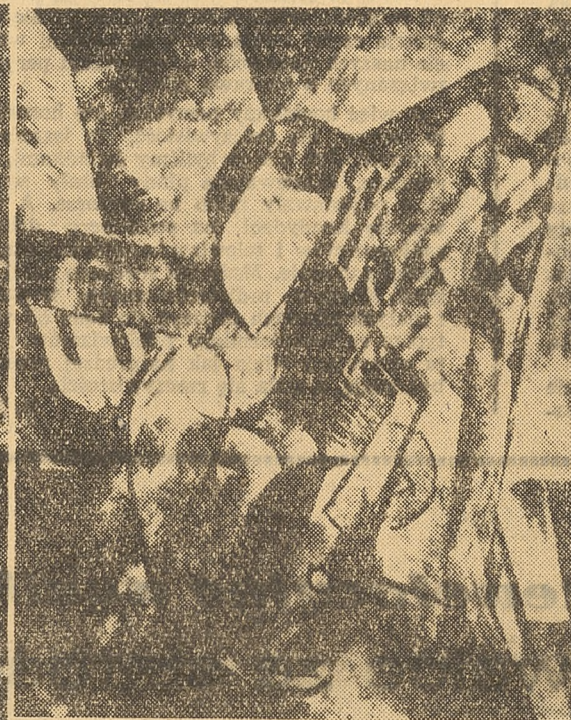
G. BRAQUE: MARTWA NATURA (1912), MARTWA NATURA (1910),



MARTWA NATURA Z GITARĄ (1909)



P. PICASSO: MARTWA NATURA (1909), KOBIETA Z MANDOLINĄ (1909),



POPIERSIE NAGIEJ KOBIECY (1910)

Mój felieton z 7 numeru „Zdarzeń” nadszedł na mnie kolejną falkę listów, za które korespondentem dziękuję. Pisałem tam o prostytucji; o sposobach jej zwalczania nieco mniej, bo nie bardzo wiem jak można zapobiec utrzymywaniu się przy życiu tego procederu. Zahaczyłem tam o sprawy erotyki w ogóle i oto muszę dziś zająć się bliżej tym pasjonującym wszystkich — od lat 14 do 150, problemem. Zwalczając jeden list, podpisany przez „Rzeszowiankę” zacytuję niemal w całości:

„Po przeczytaniu Pana reportażu w „Zdarzeniach” pod tytułem „Sami sobie się dziwiecie”, oraz całego szeregu artykułów i artykułków na temat szerzącej się prostytucji chciałem do pana rozumowania dorzucić kilka uwag ze strony ludzkiej. Ciągłe wszyscy piszą co robić, jak opiekować się dziewczętami itp., ciągle o kobietach, a ja Panu powiem, że to wy, mężczyźni stwarzacie to, że się dziewczęta puszczają. Nie jestem naiwną młodą dziewczyną, mam 30 lat, dwoje dzieci, męża i dużo widziałam. Mężczyźni dzisiejsi, mojego pokolenia i młodszy lubią dziewczęta i kobiety, które są takie. Mężczyźni stwarzają atmosferę w każdej znajomości, niestety, od nich zależy jak idzie znajomość. Każda dziewczyna młoda, ładna i biedna, a takich dużo, powinna się puszczać, bo tak chce dzisiejszy świat, tak chcą mężczyźni, a od puszczania nie tak daleko do prostytucji. Byłam ładną zgrabną, chciałam być „dobrą” i byłam nią. Mając lat 19 pocałowałam się po raz pierwszy. Myśli Pan, że chłopak student będzie chodził z taką dziewczyną! — Nigdy, bo nudna. Mojej koleżance też takiej, chłopak, którego bardzo kochała powiedział: bylibym się ożenił z tobą, gdybyś nie była taka „zieloną”. A ile drwin otrzymuje dziewczyna cnotliwa i oczywiście „pietruskuje” w domu. Mając lat 23 „oddalam” się chłopcu i jak zaszłam w ciążę — ożenił się ze mną. A dlaczego nikt mnie nie „porwał” gdy byłam porządna? Po cóż więc dziewczyny mają być porządne. Mówię Panu, jeżeli jakaś jest — to się do tego nie przyznaje. Chłopak mówił:

„chciałbym cię, żebyś nie była cnotliwa. Z cnotliwą kłopot”. Co chcecie to macie. No i co z tego, że żyłam cnotliwie, czy przez to mąż nosi mnie na rękach? Tak jak każdy — ogląda się za innymi. Pracowałam długi czas i wiem, że chyba do wyjątkowych wyjątków należy i żona i nie żona by nie kombinował „na lewo”. Tak chcecie żyć, chcecie łatwo się cieszyć więc wam to dajemy. Czy potraficie kochać? Miłość znają tylko dawne książki. Nie będzie inaczej, jeżeli mężczyźni się nie zmienią. Wy nie macie „czasu” ani cierpliwości — no to proszę bardzo:

nowie, tysiące prostytutek istnieją tylko dlatego, że my je utrzymujemy. Tysiące nieszczęśliwych dziewcząt boryka się z losem i społeczeństwem, ze swoimi niesłusznymi, wyklętymi przez ciemnogrod dzieci — tylko przez naszą nieuczciwość. Zdradzamy żony, jesteśmy dumni, gdy możemy się licytować ilością dziewczyn i kobiet, z którymi udało się nam przespać. Ale potem w plugawy sposób wyrażamy się o tych o których wiemy, że puszczają się na prawo i lewo. Wtedy na nasze usta wysuwa się parszywe słowo: kurwa. Nie myślimy o sobie, o swoich

EROTYKA I PRZECZULENIE

my też. Daję Panu słowo, gdybym miała córkę — to wcale bym jej nie bronila używać bo i tak wszystko jedno. Jak ktoś ma poglądy jako tako moralne i chce tak żyć — to mówią że ma źle w głowie. „Jak długo będziecie się wyśmiewać z cnoty i oglądać się za lekkimi i im dawać radość i uśmiech — będziemy takie i jeszcze gorsze. Zaczniemy pisać do mężczyzn — dlaczego się teraz tylko zwierzętami i niczym się od nich nie różni. Tylko wy swoim podejściem możecie to zmienić”.

Jestem pewien, że sto tysięcy czytelników „Zdarzeń” po przeczytaniu tego listu powie w duchu prawda. Kobiety — bo znają sytuację. Mężczyźni — bo ją sami stwarzają. „Rzeszowianka” poruszyła całą lawinę problemów, od których nie chce uciekać, ale nie będę w stanie pomieścić się na przeznaczonym dla mnie miejscu.

To pewnie: my, mężczyźni, ze swoimi samcami instynktami, ze swoimi ambicjami zdobywców czynimy większość spustoszeń w głowach i gdzie indziej naszych dziewcząt i kobiet. To pewnie: my właśnie, którzy nie potrafimy nie obejrzeć się za piękną sylwetką, którzy zaczynamy oglądać kobiety od tyłu — my jesteśmy winni. Nie picujemy się, pa-

nowie, tysiące prostytutek istnieją tylko dlatego, że my je utrzymujemy. Tysiące nieszczęśliwych dziewcząt boryka się z losem i społeczeństwem, ze swoimi niesłusznymi, wyklętymi przez ciemnogrod dzieci — tylko przez naszą nieuczciwość.

Zdradzamy żony, jesteśmy dumni, gdy możemy się licytować ilością dziewczyn i kobiet, z którymi udało się nam przespać. Ale potem w plugawy sposób wyrażamy się o tych o których wiemy, że puszczają się na prawo i lewo. Wtedy na nasze usta wysuwa się parszywe słowo: kurwa. Nie myślimy o sobie, o swoich

kollegach, nie potrafimy wydusić przelisk i na siebie: kurwiarze. Kilka tysięcy z was uśmiechnie się pobłażliwie. Będą to lowelasy, asy i inne rymy zakończone na „asy”. Ale Bóg i parę kobiet świadkiem, że nie jestem eunuchem: nie wiażę na ambone, by prawić moralę. Kiedyś myślałem, że to mój wynalazek: kobiety i kobietki. Jedne do zabawy, do łóżka, do knajpy, drugie do całowania rąk i weselnień i — do ślubu. Potem te nieszczęśliwe porządne niewiasty zakopujemy w betach domowych a sami nadal zezujemy w kierunku kragłych zadków „kobietek”. To jest plugawa prawda.

Dlaczego plugawa? Dlatego, że na samą myśl, że nasze żony mogłyby poszukać sobie przygody pozamążęńskiej zalewa nas krew. Nigdy tego nie tolerowaliśmy. Ale sami... Och, nam się wydaje, że wszystko dla panów.

Czy jestem za państwową, zagwarantowaną konstytucyjnie cnotą małżeńską? Jeżeli to komus odpowiada — tak. Ale jeżeli jedna ze stron uznaje siebie za osobę bardziej wolną od współmałżonka — stawiam swoje małe veto: co wolno wojewodzie to i wojewodzinie. Nieprawdaż?

Myślę, że warto są roztrząsać nie

OBYCZAJE

tylko sprawy łóżkowe czasu małżeństwa. Te przedmażeńskie także, choć bywają one bardziej różnorodne. Bo tam wiadomo: mąż, żona, zdrada, rozwód, mordobicie, cześć. Podzielcie się dziećmi i wspólnym pokojem. A tu — zawody, próby trucia, zapianie nieudanej miłości przypadkowe rzućcie się w obce... ramiona, na złość itd. Znamy. A jednak zawsze wzruszamy się losami różnych Tristanów i Romeów, współczujemy Izoldom i Juliom. Mniej wzruszaliśmy się losami Marty'ego. A tu, pod naszym boki są tysiące takich nieśmiałych Marty'ch. Znam jednego. Ładny, mądry, wykształcony chłopiec. Godzien miłości najlepszej z dziewczyn. Ale nie umie chodzić koło tych spraw. I sprząta mu sprzed nosa jedną po drugiej. Kiedyś powiedział mi, że się już skręca, że chyba zagrzebie się po uszy w książki i zacznie pracę naukową obliczoną na kilkanaście lat wtedy nie będzie czasu myśleć o kobietach... albo poszuka jaką kurwę, bo nie jest dzieckiem, skończył lat 30, a bez kobiety — wiadomo... Dramat jednego człowieka. Prawdopodobnie jakaś dziewczka będzie miała nowego klienta. Kogo, proszę państwa, rozgrzeszmy? Ja rozgrzeszam oboje.

Erotyka zajmuje w naszym życiu ogromnie wiele miejsca i czasu. I nie z nią nam walczyć. Ona jest od nas silniejsza. Natomiast warto propagować wśród młodzieży, zwłaszcza męskiej, jakieś nowe zasady moralne, nowe spojrzenie na sprawy płci i stosunków między nimi. Myślę, że to niezapelnienie prawda, co pisze „Rzeszowianka”, iż wszyscy mężczyźni źle widzą cnotę u dziewcząt. Wielka liczba znanych mi mężczyzn traktuje to inaczej: szuka cnotliwych dziewcząt na żony, natomiast chętniej widzi niecnotliwe do przygodnych zabaw, bo istotnie, z takimi mniej kłopotu i łatwiej się od nich wyzwolić.

(Dokończenie na str. 7.)

EROTYKA i PRZECZULENIE

(Dokończenie ze str. 6)

Ale jedno i drugie jest jednakowo niemoralne.

Przebudować psychikę młodzieży męskiej — to wielka robota, na dziesięciolecie. Gdyby mówili: miałas innych, ja miałem inne. W porządku. Ale oni zawsze kiedyś przypominają: eh, ty, taka owaka. I nowa tragedia.

Na razie zaś obserwuję niebывale zwyrodnienie u młodzieży, nie tylko męskiej. Chłopcy osiemnastoletni traktują dziewczęta jak rzeczy, jak zabawkę, którą można wziąć, pobać się i wyrzucić za drzwi. W tym jest podobno nowoczesna męskość. Co gorsza — dziewczęta zaczynają to tolerować. Zwłaszcza młode robotnice. Żyją z chłopakami stadnie, słuchają ich pikantnych rozmów, piją jak równe, umieją podsycać bójki o siebie. To także ma być jakaś nowa, atomowa „moralność”. Inteligencja traktuje te sprawy bardziej prosto, choć z większym wyrafinowaniem. Na wsi ciągle jeszcze otoczone są one mgiełką wstydlivosti. Młodzież miejska jest wystawiona na najgorsze wpływy zwyrodniałego seksualizmu. I stąd potem takie listy — „Rzeszowianek”.

Drugi list, którym powinienem się zająć — nadesłał zaatakowany przeze mnie kolega T. z „Tygodnika Zachodniego”. Mógłby, powiada, zignorować mój felieton, ale woli nie. Woli udawać, że nigdy nie wysłał mózgu na rzecz zakładania burdeli. A tymczasem pisał jak następuje:

„Naprawdę nie mam odwagi proponować legalizacji nierządu”. A nieco niżej:

„Tak, nie mam odwagi proponować domów publicznych”.

Nieśmiałość kolegi T. jest wzruszająca. Nie ma, biedaczek sam odwagi, więc wysuwa różki jak ślimak innym pod nos: może ci inni nabiorą wiatru w żagle i założą burdele? Wtedy powie zwycięsko: przecież ja o tym już dawno...

Gdyby T. miał odwagę — byłby obiecującym publicystą. A jeśli sam stwierdza, że jej nie ma — to po kiego licha zajmuje miejsce w gazecie i czas czytelnikom takimi „odkryciami”? „Pisałem już, że wokół prostytutek gromadzą się elementy przestępcze”. Ot, rewelator!

Kolega T., którego nazwiska nie wymieniam, aby mu nie przysparzać niezasłużonej sławy, tak okrutnie się na mnie oburzył, że zagroził mi sądem koleżeńskim SDP za naruszenie „najbardziej elementarnych zasad dobrych obyczajów w pracy dziennikarskiej”. Przypisuje sobie ponadto wszystkie epitety, jakich użyłem wobec osób dziwiących się w roku 1957 prostytucji.

Zbytek samokrytyki, kolego T.! Na was przypada jedynie może jedno określenie: ludzik z otwartą buzią. Reszta przynależy do innych i proszę sobie ich nie przywłaszczać. Felietony kolegów należy umieć czytać z mniejszym zapatrzeniem we własne braki.

Miło mi również pokwitować notatkę w „Tygodniku Zachodnim” z dnia 29 czerwca, pt. „Brawo Drozdowski”. Kolega arł, pisze, że „zdażyło się „Tygodnikowi wydrukować reportaż kolegi T. i że ja nie na to „świecie oburzyłem”. I że cierpię na dziecienną obsesję pierwszeństwa, bo niby to ja pierwszy poruszyłem problem prostytucji. O naiwny arł! Nie wie, nieborak, że to już trzy lata temu pojawiły się pierwsze „odkrycia” prostytucji, że na ten temat toczyły się długie i jałowe dysputy, że nic nie wymyślono, i że wobec tego głosik kolegi T. był naprawdę naiwny, ponieważ, i zgola wierszokwowy. I że nadejść się raczej do tygodnikowej „Karuzeli” niż na czołówkę. I dlatego naprawdę nie dziwię się sobie, że ogarnia mnie śmiech pusty na brak czytania kolegi z „T.Z.”, natomiast rad bym widział u kolegów mniej przeczulenia, więcej znajomości rzeczy a najwięcej odpowiedzialności za swoje pismo. Odgrzewaniem powszechnie znanych problemików w skali Klaja czy Pily doprawdy nie robi się dobrego imienia prasie, a „Tygodnikowi Zachodniemu” w szczególności.

BOHDAN DROZDOWSKI

ERSKINE CALDWELL

KOZY MOJEGO OJCA

— Twój ojciec zawsze musi coś zbroić. Wciąż coś nowego — z beznadą i zmęczoną miną narzekała mama. — Słowo daję, zdaje mi się czasem, że nigdy w życiu nie zaznam chwili spokoju.

Chodziła tam i z powrotem po podwórzu, załamując ręce i próbując znaleźć wyjście z sytuacji.

Kozy, które tata i Murzyn Handsome Brown przyprowadzili z naszej farmy, stały wszystkie na dachu domu spokojnie żując. Duży cap miał białe bokobrody, które czyniły go podobnym do pana Cartera z naprzeciwka.

— Co tu począć, na miłość Boską? — mówiła mama, wzdychając po podwórzu. — Zaprośiłam do siebie sąsiadki na dzisiejsze zebranie i jeżeli zobaczą kozy na dachu, umrę z wstydu.

Dwie kozy też ruszały szczękami, ale ich brody nie były ani w połowie tak długie jak broda capa. Poza trzema dorosłymi kozami były jeszcze na dachu dwa kozłeta: małe, dwumleśne koziołki, ale wszystkie pięć razem wyglądały na dachu jak cała masa kóz.

— William, powiedz Handsomowi niech pójdzie do miasta, odszuka ojca i powie mu, żeby natychmiast spędził te kozy — powiedziała do mnie matka.

Handsome mył w kuchni naczynie; wystarczyło wejść na ganek, żeby go zawołać. Wyszedł przed dom i zapytał czego chce.

— Pierwszą rzeczą, jakiej chcę od ciebie — zaczęła zirytowana mama — to dowiedzieć się, po jakiego licha przyprowadziłeś tu te kozy?

— Ja tylko zrobiłem, co mi kazał pan Morris. Ja zawsze robię, co mi każe pan Morris, proszę

ką zobaczyłem był tata rozmawiający z Handsomem. Szli szybkim krokiem w kierunku domu.

— O co chodzi, synku? — zapytał ojciec, patrząc na kozy na dachu — czy coś się stało?

— Mamą mówi, żebyś spędził z dachu te kozy, zanim zejda się panie z Kola Gospodyń.

— Nic prostszego — zawołał śpiesząc naokoło domu na podwórko. — Chodź, Handsome, pomóżesz mi.

— Pan mówi do mnie, proszę pana? — zapytał Handsome. Był duży i ciężki i nie mógł szybko się poruszać. Zawsze narzekał, że boją go krzyże, kiedy szybko chodził. Jeżeli już musiał się naprawdę śpieszyć to dreptał.

— Prędzej, Handsome — wołał tata — przestań stękać.

Poszliśmy na podwórze. Tata przez chwilę obserwował kozy stojące na kalenicy. Lubił je tak samo, jak i ja i dlatego zabrał je do miasta, żeby mieć je codziennie przy sobie. Kiedy kozy były na farmie, mógł je widywać tylko raz na tydzień, bo nie chodziliśmy częściej na wieś.

Kozy zatrzymały się i patrzyły na nas czekając co zrobimy.

— Handsome — powiedział tata — przynieś drabinę i przystaw do dachu.

Handsome przyniósł drabinę i postawił tak jak mu tata kazał.

— A teraz co mam zrobić, proszę pana? — zapytał.

— Wyłaz na dach i spędź kozy — odpowiedział tata.

Handsome spojrzął na capa i cofnął się o krok.

— Troszkę się boję tego dużego capa, pro-

Właśnie wtedy mama usłyszała zbliżające się od strony ulicy panie. Pogroziła Handsomowi i pobiegła do domu, żeby zamknąć frontowe drzwi, zanim goście nadejdą. Wyobrażała sobie, że zastawszy drzwi zamknięte poczekają na frontowej werandzie; inaczej przeszłyby po prostu przez dom na podwórze, żeby zobaczyć, co się stało.

Zamknawszy drzwi wróciła i usiadła z ojcem na sągu drzewa, skąd mogli obserwować, co robi Handsome.

Dotarłszy do dachu kuchennego Murzyn położył się trzymając się kurczowo dachówek. Z dołu wyglądał okropnie mały.

— Żebyś mi nie zrobił którejś kozie krzywdy, albo jej nie strącił! — krzyknął za nim tata. — I uważaj, żeby nie spłoszyć kozłat, bo pospadają. Obedrę cię ze skóry, jak im się co stanie!

— Słyszałem każde słowo pana — zawołał z góry Handsome. — Przysięgam, że nigdy w życiu nie widziałem nic równie śliskiego. Ale robie co mogę. Za każdym razem jak się ruszę, kopię się, że spadnę na ziemię. Umieram ze strachu, proszę pana.

Czekał, czy tata nie odpowie mu coś. Chciał zyskać na czasie. Po chwili, kiedy pojawił się tata nie ma zamiaru nic więcej dodać, zaczął się czołgać cał po calu w stronę głównego dachu. Dostawszy się na szczyt rzucił jeszcze raz okiem w dół. Kiedy nas zobaczył, zamknął oczy i już więcej nie spojrzał w tę stronę.

— Uważaj, żeby się kozom co nie stało! — wołał tata.

— Tak jest, proszę pana — doleciał z bardzo daleka głos Handsome'a. — Staram się jak mogę.

FILM

„WRAKI”

Sensacyjny polski kolorowy film wg. powieści Janusza Meissnera w reżyserii Ewy i Czesława Petelskich. Bohaterem filmu jest Antoni Barnat (gra go Zbigniew Józefowicz) z zawodu nurek, który jako członek grupy konspiracyjnej zatapia w ostatnich dniach wojny ewakuujący Gdynię okręt niemiecki.

Po wyzwoleniu Barnat za niezbyt legalne sposoby zarabkowania dostaje się do więzienia, a po wyjściu z niego znowu pracuje w zawodzie nurka. Spotyka dawną swą miłość Teresę (Urszula Modrzyńska), lecz ta, mając narzeczonego Rafała Grabienia, odrzuca propozycje Barnata. Nie prostą jednak jest sprawą wyrwanie z serca pierwszych gorących i jak się okazało tlejących jeszcze uczuć. Komplikacje miłosne przenoszą się na teren morza i pod jego powierzchnię, gdzie obaj rywalują w pasjonującej walce z żywiołem wydzierając morzu zatopiony okręt „Adlerhorst”. Wypadek, jaki przy tym miał miejsce, powoduje nowe, kryminalnej natury powikłania.



pani, tłumaczył się Handsome, przestępując z nogi na nogę. — Pan Morris powiedział, że chce mieć te kozy w domu i kazał mi je przypędzić, więc przypędziłem. Nie może pani krzyżeć na mnie za to, co mi kazał zrobić pan.

— Dlaczego nie powiedziałaś panu Morrisowi, że należało się najpierw mnie zapytać? — rzekła. — Powinieneś być o tym pomyśleć.

— Tak, proszę pani, myślałem o tym, ale jak powiedziałem panu Morrisowi, to pan Morris odparł: „aha, jeszcze czego”; No to przypędziłem.

Mamę ogarniała coraz większa złość. Chwyciła jakiś polano i rzuciła w stronę kóz, ale polano nie doleciało do dachu; uderzyło z hukiem o ścianę domu, zostawiając ślad na tynku.

— Idź w tej chwili do miasta, Handsome i odzyskaj pana Morrisa — powiedziała mama. — Powiedz mu, że chcę go zaraz widzieć. Zajrzyj do fryzjera i do sklepu żelaznego, wszędzie, gdzie się zwykle waleś. A nie pokazuj się bez niego! Handsome Brown, słyszysz? Żadnych tłumaczeń tym razem!

— Tak, proszę pani — powiedział Handsome i udał się na poszukiwanie taty.

Kozy tymczasem spacerowały po kalenicy, trochę przypatrując się sobie i mamie, a trochę patrząc na przeciwną stronę, na ulicę. Dostały się na dach skakając z sągu drzewa na szepce, stamtąd na dach werandy, a potem na dach domu. Były na wysokości jakichś dwu pięter. Widok spacerujących gęsiego po dachu kóz był okropnie śmieszny.

Kiedy zatrzymały się i znów popatrzyły na nas, cap zaczął coś przeżuwać ruszając brodą, co wyglądało zupełnie, jakby robił do nas miły.

Mama zaczęła szukać czegoś, czym by mogła rzucić w kozy, ale była tak wściekła, że nic nie potrafiła znaleźć. Potraźnęła tylko pięścią w ich kierunku i pobiegła do domu.

Siedziałem parę minut na schodach, ale mama wyszła za chwilę i potrząsnęła mnie za ramię.

— William, idź przed dom i patrz za ojcem. Jak tylko go zobaczysz zaraz mi powiedz. Te baby tu będą lada chwila.

Poszedłem naokoło do frontu i stanąłem przy bramie. Nie czekałem długo; pierwszą osobą ja-

szę pana — powiedział. — Nie widziałem w swoim życiu pary równie paskudnych rogów. Jeżeli panu wszystko jedno, proszę pana, to wolałbym nie iść tam. Krzyże boją mnie strasznie od samego rana. Bardzo źle się czuję.

— Nie gadaj tylko rób, co ci każe — powiedział tata. — Nic ci nie jest ani dzisiaj ani w ogóle nigdy.

Właśnie wtedy wyszła mama przypinając do sukni wykrochmalony kołnierzyk, przygotowana na przyjęcie gości. Stała na schodkach i patrzyła na mnie to na tatę.

— Posłuchaj Marto — zaczął szybko tata — nie się nie martw, spędzimy te kozy w jednej chwili.

— No to zabieraj się prędko do roboty. — powiedziała mama. — Lada chwila nadejdą wszystkie panie. Co powiedzą ludzie, jak zobaczą stado kóz spacerujące po moim dachu?

— Uspokój się Marto — rzekł tata — Handsome już wyłazi na górę.

Handsome wciąż się jeszcze zastanawiał. — Ojciec podszedł do niego i popchnął go ku drabinie.

— Pospiesz się i rób co ci każe — powiedział. Handsome próbował zyskać na czasie podwijając nogawki spodni i zapinając wszystkie guziki u koszuli, ale w końcu zaczął wyłazić na drabinę. Kiedy wspiął się na wysokość werandy zaczął wracać na dół.

— Handsome Brown! — zawołała mama, wybiegając na środek podwórza — jeżeli zejdziesz z tej drabiny zanim spędzisz z dachu kozy, to ci do końca życia nie dam ani kaska jedzenia! Możesz wybierać: albo pójdziesz sobie stąd albo zginięsz z głodu, jeżeli nie posłuchasz pana Morrisa.

— Ale proszę pani, krzyże zaczęły mnie boleć, coś okropnego.

— Ostrzegam cię, Handsome Brown — powtórzyła mama tupiąc nogą — i możesz być pewny, że dotrzymam słowa.

— Ale proszę pani, ja...

— Ostrzegam cię ostatni raz! — zawołała mama.

Handsome popatrzył w górę na kozy, w dół na mamę i powoli wydrapał się na dach kuchenny. Stamtąd rzucił okiem na dół, żeby zobaczyć, co robimy.

Dotarł do okapu głównego dachu i przelał nań. Od kalenicy dzieliła go przestrzeń równa chyba przebytej dotychczas. Powoluku czołgał się w górę, aż rękami dosięgnął gąsiorów kalenicy. Teraz już wydostanie się na szczyt dachu było łatwe. Kiedy się tam znalazł, przerzucił nogę przez kalenicę i usiadł na niej okrzakiem trzymając się kurczowo gąsiorów.

Kozy przeszły tymczasem na drugi koniec dachu ustępując z drogi Handsome'owi. Aby je spędzić musiały się posunąć po kalenicy w ich kierunku i zawrócić je na dach kuchni, skąd mogłyby zeskokczyć na werandę, drewnitnię i na koniec na sąg drzewa.

Handsome był już w połowie drogi, gdy wydało się, że cap postanowił zawrócić z własnej woli. Za capem ruszyły wszystkie kozy, za porządkiem od najstarszej do najmłodszej.

Handsome widział je dobrze, szczególnie capa, który pochylił głowę tak, że rogi sterczały mu jak dwa piorunochrony.

— Zaczekaj chwilę! — wrzasnął na capa. — Zaczekaj, mówię!

Cap szedł dalej w jego kierunku. Kiedy się znalazł na jakieś cztery, pięć kroków przed nim, zatrzymał się, poruszył parę kalenicy i utkwił wzrok w Handsome'a.

Podczas kiedy tak patrzyli sobie w oczy, mama wybiegła na środek podwórza, żeby zobaczyć czy kozy już zeszyły.

Akurat w tym momencie cap ruszył naprzód z pochylonym łbem wierzgając tylnymi nogami. Murzyn spostrzegł na czas atak ale niestety nie było gdzie się ukryć. Jedyńie co mógł zrobić, to położyć się na płask. Wzpełił się palcami w dachówki i trzymał z całych sił.

— Uważaj, Handsome! — wrzasnął tata, widząc co się dzieje. Zerwał się na równe nogi i zaczął wywijać rękami w kierunku capa, aby go odstraszyć. Nie zdało się to na nic, bo cap z całej siły zaatakował Handsome'a. Przez moment trudno się było zorientować co się stało: obaj zamarli bowiem w bezruchu, jak zderzające się ze sobą w powietrzu deski.

— Trzymaj się, Handsome! — krzyczał tata.

Ale już w następnej chwili Handsome zesuwał się tyłem na spodniach po pochylności dachu. Znalazłszy się w połowie drogi zaczął się kręcić

(Dokończenie na str. 8)

Fakty -- Plotki

BEZCZELNOŚĆ

Dwóch uciekinierów z więzienia w Neuburg spędziło cały dzień w barach miejskich w stroju aresztanckim. Nikt nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi (oczywiście do pewnego czasu).

FOKI W OSTATNIEJ WOJNIE

Marynarka szwedzka próbowała w czasie ostatniej wojny światowej zastosować foki do zwalczania łodzi podwodnych. Do ogona zwierzęcia przyczepiano torpedę i tresowano je w podpływanu do łodzi. Eksperyment ten jednak (ujawniony dopiero niedawno) nie zdał egzaminu, gdyż foki uciekały.

PTAKI CONTRA SAMOLOTY

W ciągu ostatnich 5 lat 401 samolotów amerykańskich uległo wypadkom z powodu ptaków, które w czasie lotu wpadały bądź do silnika, bądź do kabiny pilota, powodując jego zranienie.

CHIŃSKA DIETA

Edgar Faure wybierał się w podróż do Chin. Dla przygotowania swego żołądka do chińskiej kuchni, już na kilka tygodni naprzód zaczął stosować wegetariańską dietę opartą na ryżu i jarzynach. Niezależnie od tego przygotował się w inny jeszcze sposób do podróży: całemu szeregowi dzienników amerykańskich sprzedał „na pniu” swe wrażenia z podróży!

PRZEWIDUJĄCY

Znany aktor Errol Flynn pisze pamiętniki. Dla zabezpieczenia się jednak od ewentualnych zarzutów oszczerstwa, procesów o znieważenie i innych podobnych przyjemności spotykających autorów pamiętników współczesnych, każdy rozdział przed oddaniem do druku daje do przeglądu swemu adwokatowi.

DOBRE!

W pewnej gazecie ukazało się ogłoszenie następującej treści: Z powodów zdrowotnych do sprzedaży „Ściana śmierci”.

NA FRANCUSKICH KOLEJACH

zastosowano doświadczalnie wagon, które na zakrętach mogą przechylać się do 18° dla zaszczepienia pasażerom wstrząsów.

ZAPOMNIANA ROCZNICA

Mija obecnie 18 lat od śmierci jednego z najwybitniejszych prozaików obecnego stulecia, Żyda pochodzenia polskiego, Józefa Rotha. Autor, którego dzieła uważa się za „najwspanialsze i najoryginalniejsze zdarzenie w literaturze” (cytat), a jego samego za wiekszego od Tomasa Manna czy Rainera Maria Rilke'go, dopiero teraz daje się poznawać szerokiemu ogółowi. Umierając w Paryżu w szpitalu dla ubogich w wieku 44 lat, pozostawił po sobie 13 powieści i 8 nowel (nie licząc pomniejszych pozycji).

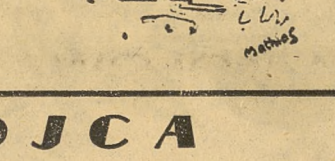
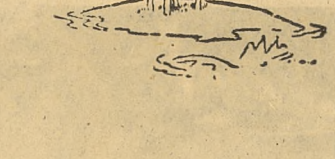
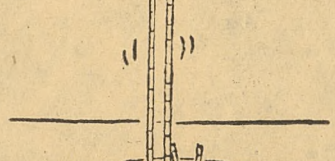
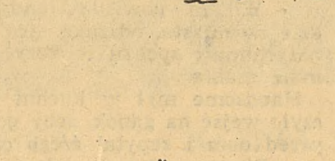
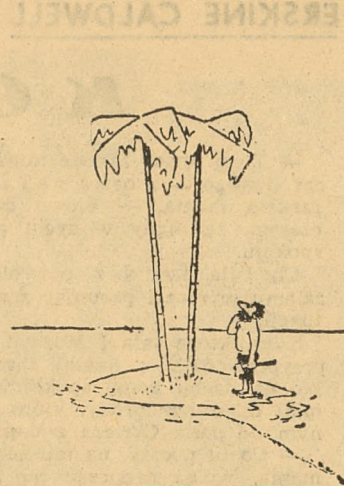
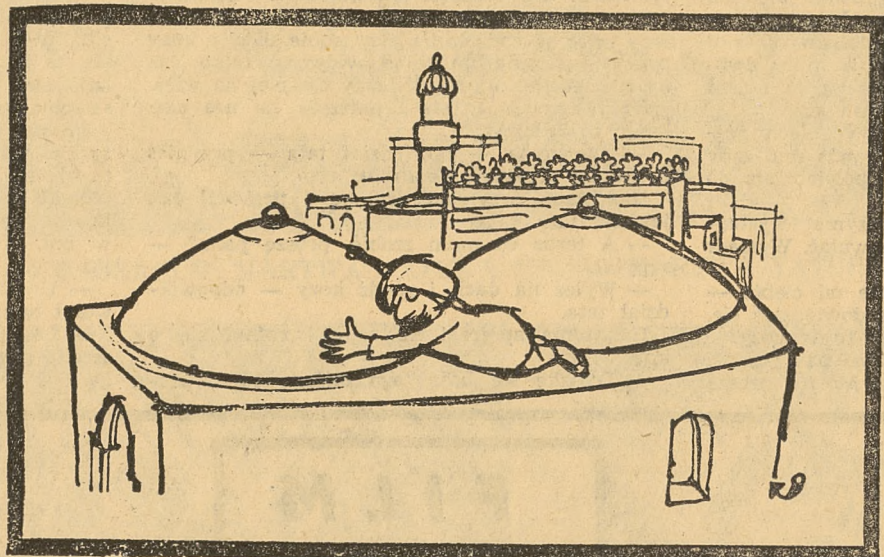
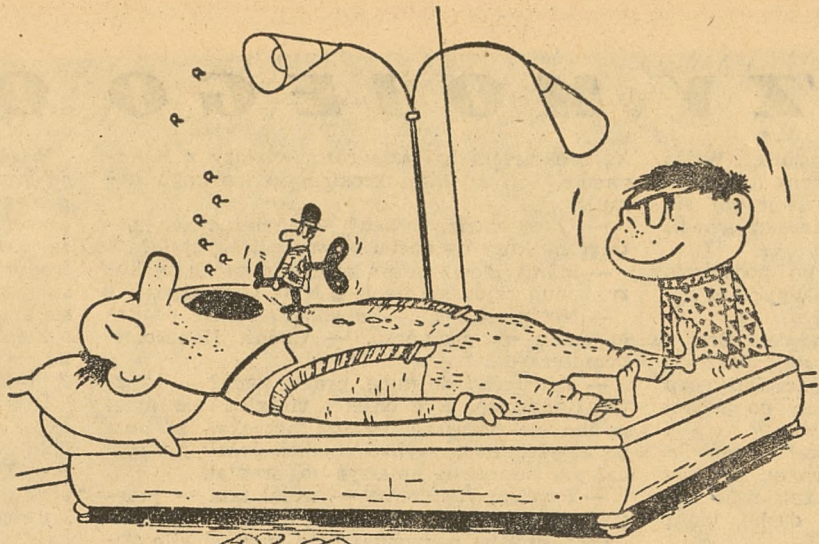
LE CORBUSIER

wyraził się raz: „Zawód dekoratora wewnątrz polega na tym, aby projektować u innych to, co by człowiekowi nigdy nie przyszło do głowy zrobić u siebie”.

SKRUPULATNY

— Puk! Puk!
— Proszę wejść!
— Przepraszam, czy to pan dziś uratował życie mojemu synkowi?
— Tak, to ja.
— Pan skoczył do lodowatej wody, aby wyciągnąć dziecko, które przypadkiem wpadło do rzeki?
— Tak, to ja.
— Przepraszam, a co pan zrobił z jego beretem?

Zebrał J. Piątkowski



HUMOR

PERSPEKTYWY AGROTECHNIKI

W świetlicy pewnego PGR w Olśztyńskim objazdowy lektor rolnictwa, wygłaszając pogadankę o postępie wiedzy agrotechnicznej, powiedział: — Już niedługo będziemy mogli nosić nawóz sztuczny do użytkowania całego hektara w jednej kieszeni.

Na to momentalnie rozległ się głos w sali: — A zbiory w drugiej!

PRACOWITY LODOWIEC

Grupa turystów amerykańskich zwiedza Alpy szwajcarskie. Towarzyszący im przewodnik jest już zmęczony wieloma pytaniami, zadanymi szczególnie przez ciekawskie mieszczki nowojorskie, nie mające pojęcia o geografii fizycznej. W pewnej chwili jedna z niewiast, zauważywszy ogromne głazy, na łące w dolinie, zapytuje:

— Skąd tu się wzięły te kamienie?
— Przyniósł je lodowiec! — odparł lakonicznie przewodnik.
— A co się stało z lodowcem? — padło naiwne pytanie.
— Wrócił po nowe kamienie!

UCZCIE SIĘ JĘZYKÓW!

Warszawski dziennikarz Jerzy W...ff bawił niedawno w Pradze, gdzie przeżył tragikomiczną przygodę w czasie oprowadzania go po zabytkach miasta i okolicy przez panią Ludmiłę P., pracownicę Rozgłośni Czechosłowackiej. Oto, co napisał ów dziennikarz w jednym z warszawskich tygodników o swej nieznanomości języka czeskiego, zdemaskowanej przez jego praską przewodniczkę:

„Zawsze uśmiechnięta, uprzedząco grzeczna i miła, raz tylko ofuknęła mnie dopytując niespodziewanie. Kiedy spytałem, czy jest panną.

— Co panu do tego! — burknęła zmarszczona.

Zrozumiałem ją dopiero wówczas, gdy dowiedziałem się, że „panna” znaczy po czesku „dziewica”.

ANI DRAMAT, ANI KOMEDIA

Znani scenopisarze warszawscy w latach międzywojennych: Kiedrzyński i Konczyński oglądali raz film krajowej produkcji na specjalnym pokazie dla recenzentów prasowych. W połowie akcji Kiedrzyński odezwał się:

— Hm... jak na komedię, to trochę za mało zabawne!

— Ależ to nie jest komedia, tylko dramat! — wyjaśnił Konczyński.

— Ach tak?! — westchnął Kiedrzyński. — No, jak na dramat, to rzeczywiście dostatecznie zabawne!

ZAGADKA RODZINNA

Jeden z satyryków krajowych, bawiąc towarzystwo opowiadaniem do wciopów, powiedział: „Było w naszej rodzinie dziesięciu braci i każdy miał jedną siostrę”.

— Co?! — wykrzyknęła na to pewna młoda meżatka. — Więc pańska matka urodziła dwadzieścioro dzieci?

— Nie! Tylko jedenaścioro — wyjaśnił dowcipniś.

JEDYNA POCIECHA

— Ogromnie się cieszę — mówi żona do męża — znalazłam dzisiaj śliczny kapelusz, w którym doskonale wyglądam...

— To jedyna pociecha, że go znalazłaś, bo kupić to nie miałbym ci za co!

PO AMERYKAŃSKU

— Czy pani małenstwo już chodzi?

— Nie, na razie uczy się kierować samochodem...

INNY CZŁOWIEK

Żona? — Wczoraj przyrzekłeś mi uroczyście, że przestaniesz pić, że będziesz zupełnie innym człowiekiem, a dziś znów jesteś pijany!

Mąż: — No tak, stałem się innym człowiekiem, ale widocznie mam pecha, bo ten drugi człowiek jest takim samym pijakiem, jak i tamten.

Zebrał T. J. W.

KOZY MOJEGO OJCA

(Dokończenie ze str. 7)

jak bąk. Zaledwie mogliśmy sobie z tego zdać sprawę, gdy Handsome znalazł się poza dachem, w powietrzu. Blyskawicznie myśleliśmy, gdzie biedak wylądował; podwórko było twarde i zwirowate i nie było nic co by mogło złagodzić jego upadek; ale zanim mogliśmy się zorientować, Handsome w ogóle nie trafił na podwórko. Znikł nam z oczu. Przebił pokrywę studni jak armatni pocisk.

— Święty Boże! — krzyknęła mama. — Handsome zniknął! — zachwiała się i padła zemdlna na ziemię. Tata rzucił się, aby ją podnieść, ale zaraz położył ją z powrotem na ziemi i popędził do studni, aby zobaczyć, co się stało z Handsome. Wszystko odbyło się tak nagle, że nie było czasu na zebranie myśli. Dwie deski zakrywające studnię były potrząskane, jakby wylądował na nich stukilowy kamień.

Rzuciłem się za ojcem. Kiedyśmy zajrzeli w głąb studni nie mogliśmy w pierwszej chwili nic zobaczyć. Wewnątrz było zupełnie ciemno. Tata ryknął na Handsome'a; echo odbiło się jak gumowa piłka i ogłuszyło nas.

— Odezwi się, Handsome! — zawołał jeszcze raz ojciec. — Odezwi się!

Mama wstała i staniając się podeszła do nas. Nie mogła przyjąć do siebie i zataczała się jak Andy Howard w sobotę wieczorem.

— Biedny Handsome Brown — jęczała, chwytając się ocmobrowania studni aby nie upaść. — Biedny Handsome Brown. Był najlepszym Murzyńcem, jakiegoś mieli. Biedny Handsome Brown!

Tata śpiesznie odwiął łańcuch. Chciał jak najprędzej spuścić wiadro do studni.

— Przestań, Marto — mruknął przez zęby — nie widzisz, że nie mam chwili do stracenia?

— Biedny Handsome Brown — powtarzała mama ocierając łzy z oczu i nie zwracając w ogóle uwagi na ojca. — Załuję teraz, że tak na niego zawsze krzyczałam. Był najlepszym Murzyńcem, jakiegoś mieli kiedykolwiek mieli. Biedny Handsome Brown.

— Zamknij się, Marto! — krzyknął na nią tata. Nie widzisz co robisz?

Przez ten czas mama przychodziła stopniowo do siebie; mogła już nawet stanąć o własnych siłach. Pochyliła się nad studnią.

— Handsome, jesteś tam? — krzyknął ojciec w głąb studni.

Przez chwilę nie było odpowiedzi. Przechylił się wszyscy jak tylko się dało daleko i spojrzeliśmy w głąb. Początkowo nie można było nic rozróżnić, ale stopniowo zaczęły na dnie połyskiwać dwie duże, białe gałki, odległe jakby o milę. Po chwili stały się wyraźniejsze i zrobiła się z nich para kocich oczu świecących w ciemnościach nocy.

— Czy możesz oddychać, Handsome? — krzyknął z góry ojciec.

— Mogę oddychać, proszę pana — odpowiedział Handsome. — Ale strasznie mnie krzyże bołą.

— Głupstwa — odpowiedział tata. — Nic ci nie brakuje. Czy widzisz dobrze?

— Nie widzę zupełnie nic — rzekł Handsome. — Jestem ślepy jak kret. Nic zupełnie nie widzę.

— To dlatego, że jesteś na dnie studni — powiedział mu tata. Nikt by nie potrafił widzieć w studni.

— Więc to ja jestem w studni? — zdziwił się Handsome. — Boże kochany, to dlatego tyle jest naokoło wody, proszę pana? Jak tu się dostałem, myślałem, że wpadłem prosto do piekła. Kiedy mnie pan stąd wydobędzie, proszę pana?

— Chwyć się wiadra na sznurze, a wyciągnę cię w tej chwili.

Handsome chwycił wiadro, ale zaczął tak szarpać sznurem, że tata znów się pochylił nad studnią.

— Proszę pana! — odezwał się Handsome.

— Czegoż jeszcze chcesz?

— Jak mnie pan stąd wydostać, nie każe mi pan jeszcze raz wylazć na dach po te kozy?

— Nie — odpowiedział tata, kręcąc kołowrotek. — Te przekłete kozy mogą sobie zostać na dachu tak długo aż zgłodnieją i same zejść. Zapomnieliśmy zupełnie o kozach tak byliśmy zajęci Handsome. Mama obróciła się, popatrzyła na dach i potrząsnęła zaciśniętą pięścią w ich kierunku. Wszystkie kozy przeszły na drugi koniec dachu, koło kuchni i spokojnie na nas spoglądały.

Cap patrzył mamie prosto w oczy i przestał żuć. Zachowywali się tak jakby próbowali swego wzroku.

W tej chwili jakieś piętnaście albo dwadzieścia kobiet, które przyszły na zebranie, obeszło dom naokoło i weszło na podwórze. Zastawszy drzwi zamknięte zdecydowały, że trzeba pójść i zobaczyć co się dzieje; widziały kozy na dachu z ulicy i były ciekawe, co my tu wyrabiamy za domem.

— Na miłość Boską, Marto! — zawołała jedna z nich. — Co się tutaj stało? Te kozy na naszym dachu to chyba najkomiczniejsza rzecz jaką w życiu widziałam!

Mama obróciła się gwałtownie i zobaczywszy gości, nie powiedziała ani słowa tylko zakryła twarz rękami i uciekła tylnymi drzwiami do domu i zatrzasknęła je i zamknęła na klucz. Kobiety pobiegły do frontowych drzwi i pukały dość długo chcąc się dostać do środka, ale wreszcie dały za wygraną i odeszły, oglądając się wciąż na kozy na dachu i śmiejąc się tak głośno, że chyba całe miasto je słyszało.

Tłum. J. PIĄTKOWSKI

Historia gry liczbowej

Do gier liczbowych, obecnie powstałych w Polsce musimy również zaliczyć i „Totka-Lotka” ograniczonego do 49 liczb, z których każda poza numerem ma nazwę w postaci dyscypliny sportowej. W „Totku-Lotku” typować należy 6 liczb (dyscyplin sportowych). Suma pieniężna przeznaczona na wygrane jest podzielona w równych częściach dla „6”, „5” i „4”, względnie z braku „6” — dla „5”, „4” i „3”.

Ze wszystkich wyżej wymienionych gier, największe szanse trafienia na „szczęśliwy los” mają gracz „Poznańskiej Gry Liczbowej” (operująca 45 liczbami) i zwolennicy „Totka-Lotka” z jego 49 dyscyplinami. Pozostałe gry, wszystkie z 90 liczbami zajmują ostatnie — trzecie miejsce.

Z wyjątkiem „Totka-Lotka”, wszystkie polskie gry liczbowe są grami lokalnymi działającymi w granicach swego województwa i dotychczas żadna z nich nie ma swego oficjalnego punktu sprzedaży kuponów, nawet w województwach sąsiadujących. Gracze życzący sobie grać w loteriach, (dla powiększenia szans) sami rozwiązyali ten problem. Raz w tygodniu ci amatorzy, wysyłają z wypełnionymi kuponami specjalnego kuriera, który załatwia im wszystkie formalności związane z uczestnictwem w grze. Niebawem podamy projekt, dzięki któremu wszystkie te trudności będą usunięte. Zależać jedynie będzie od poszczególnych „sier liczbowych”, czy takie rozwiązanie zaakceptują.

Ciekawą odmianą gry liczbowej jest tzw. „Totalizator sportowy”, który rozpoczął swą działalność w 1956 roku. Ten rodzaj gry ma swoją odrębną historię. Ta sportowa loteria od razu zdobyła moc zwolenników, szczególnie ze świata sportowego, obecnie jednak liczba grających nie przekracza 1.000.000. Do osłabienia frekwencji grających w „Totalizatorze” w dużej mierze przyczyniła się biurokratyczna organizacja państwa, która nie mogła przezwyciężyć sprawnego i umiejętnego typowania rozgrywek piłkarskich. Również metoda wypłat, opóźnione informacje dotyczące wygranych, itp. niedociągnięcia zniechęciły wielu zawodzionych graczy.



Rosanna Podestà

Rozmowy z Czytelnikami

Marian Grzelak, Prabuty, Daszyńskiego 1/4. (Olsztynskie). Píše Pan do redakcji „Zdarzeń”: „numeru 9 „Zdarzeń” nigdzie nie mogłem dostać a muszę zaznaczyć, że po „Zdarzeniach” co tydzień jeżdżę specjalnie 21 km, gdyż nasze kioski „Ruchu” w Prabutach „Zdarzeń” nie otrzymują. W tym tygodniu pojechałem w poniedziałek po południu do Kwidzyna i niestety w żadnym kiosku już nie było „Zdarzeń” więc zostałem na lodzie a tak bardzo mi zależy na tym, abym mógł otrzymać ten tygodnik”.

Jesteśmy pismem wprowadzającym się dopiero na rynek i badamy chłonność poszczególnych terenów. Takie listy jak list Pana pozwalają się zorientować w potrzebach terenu. Dziękujemy za miłe słowa i wysyłamy numer 9-ty. Natomiast dalsze numery będzie Panu trudno zdobyć, gdyż „Zdarzenia” jak na razie można nabyć jedynie w Olsztynie. Poczta prenumeraty nie przyjmuje. Może ma Pan kogoś znajomego w Olsztynie, kto by Panu dosłał pismo. To jedyna w tej chwili rada.

„Czytelnik”, Kraków. Niestety nie możemy poświęcić więcej miejsca na powieść o Mazurkiewiczach. Dysponujemy zbyt skąpą ilością stron. Podobnie nie możemy przeznaczyć więcej miejsca na dowcip. Jesteśmy magazynem i dlatego dajemy o wszystkim po trochu. Liczymy jednak na zwiększenie liczby stron.

Józef Kubisiak, Nowa Huta C 2, bl. 48. Porusza Pan problem bardzo aktualny. Istotnie wielu krakowian pomagało przy budowie Nowej Huty. Należą im się obecnie jak największe udogodnienia, by mogli obejrzeć obiekt bez przepustek. Warto by tę sprawę poruszyć na jakiejś naradzie. Gdy taki postulat wyjdzie od załogi, prędzej dojdzie się do realizacji. Pisz Pan: „niech powstaną komitety zakładowe i blokowe, uczelniane i niech zorganizują w małe grupy tych, co nam wtenczas pomagali, by mogli etapami zwiedzać Kombinat i podziwiać pracę hutnika. Dlaczego zamieszczać wycieczkom pokazując się Nową Hutę a ci co są blisko i nam pomagali, nie mogą obejrzeć?”. Myśl arcyłuszną. Może poruszenie tej sprawy w „Zdarzeniach” zmobilizuje nowohucian do takiej akcji.

Jan Kozłowski, Szpital Narutowicza w Krakowie. Bardzo nas wzru-

szyła wiadomość, że „Zdarzenia” są czytane przez chorych i to na głos. Wiadomo, taka zbiorowa lektura na leżącym nie męczą. List Wasz zachowujemy w naszym archiwum jako cenne świadectwo. Życzymy szybkiego powrotu do zdrowia Panu i wszystkim przebywającym w szpitalu i prosimy o głośnie przeczytanie tej naszej krótkiej odpowiedzi w czasie lektury.

KUPON

uprawniający do udziału w stałym konkursie tygodnika „Zdarzenia”

1.

2.

3.

Imię i nazwisko czytelnika

Dokładny adres

Zainteresowanie naszym konkursem wzrasta stale

Przypominamy: Co tydzień ogłaszamy 3 pytania. Wystarczy wpisać odpowiedź na załączonym kuponie i przesłać na adres redakcji „Zdarzeń”, Kraków, Wisłopolie 1.

Co tygodnia losujemy pewną liczbę nagród, wśród których są praktyczne przedmioty. Dziś ogłaszamy obok nową listę nagrodzonych.

Wśród nagród wprowadziliśmy serię fotosów artystek filmowych ze względu na duże zainteresowanie naszych czytelników podobnymi pamiątkami. W dzisiejszej liście nagrodzonych znajdują czytelnicy również serię fotosów.

Czytelnicy są proszeni o nadsyłanie pytań przez siebie skonstruowanych. Od numeru bieżącego podajemy pytania czytelników.

TREŚĆ PYTAŃ STAŁEGO KONKURSU DLA NR 11

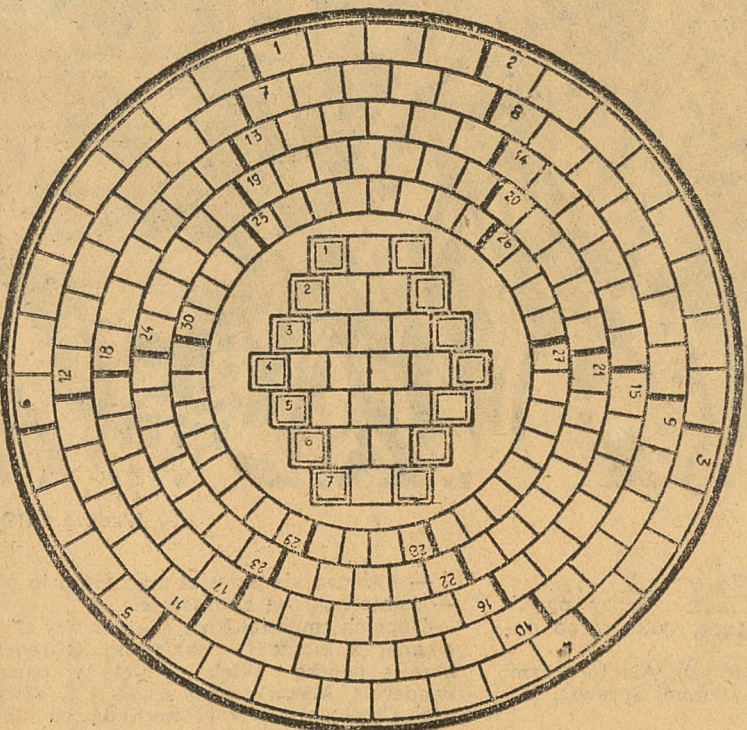
1. Które z państw wystawiło na Targach Poznańskich najlepszą aparaturę telewizyjną?
2. Który z filmów polskich uzyskał największy obecnie po wojnie rozgłos na świecie?
3. Jakimi towarami bez uszczerbku dla naszej gospodarki możemy eksportować zagranicę?

LISTA CZYTELNIKÓW, KTÓRZY NADEŚLALI DOTYCHCZAS PYTANIA DO NASZEGO STAŁEGO KONKURSU:

1. Wojciech Opieński, Kraków, Meiselsa 1.
2. Maria Tyburska, Kraków.
3. Tadeusz Świerczyński, Tarnowskie Góry, Zamkowa 8.
4. Zenon Curyło, Klucze, pow. Olkusz, Zawłocjańska 4.
5. Antoni Waligóra, Stary Sącz, Kaz. Wielkiego 12.
6. Adolf Kruczek, Nowa Huta C 33.
7. Tadeusz Kotowicz, Nowy Sącz, Długosza 36.
8. Antoni Gołębiowski, Kraków, Boh. Stalingradu 68.
9. Józef Kubisiak, Nowa Huta C 2, bl. 48.
10. Maria Tybińska, Kraków.

W bieżącym numerze drukujemy pytania p. Adolfa Kruczka i Marii Tybińskiej. Przypominamy, że nadsyłający pytania wezmą udział w dodatkowym losowaniu.

KOMBINATKA KOŁOWA



Do podanej figury wpisać 30 wyrazów w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara — według niżej podanych znaczeń. Z pierwszych liter tych wyrazów utworzyć 7 nowych słów (dla ułatwienia podajemy również ich określenia) i wpisać je poziomo do logogryfu w środku kołówki.

Litery w zaznaczonych polach logogryfu czytane z góry na dół dają rozwiązanie, którego treścią jest tytuł dzieła H. Balzaca.

Znaczenie wyrazów w kołówce:
1) nakrycie na konia, 2) miasto pod Giewontem, 3) odbicie głosu, odźwięk, 4) nalepka, marka, znak, 5) ruch ręki, skinienie, 6) często (niestety) widzisz taki napis na drzwiach sklepu, 7) twórca powieści lub in. dzieła, 8) mundur wojskowy, 9) czasomierz, 10) publikacja w gazecie, 11) „deski” narciarza, 12) telegram, 13) przywóz towarów z zagranicy, 14) żartobliwy lub złośliwy przydomek, 15) zakończenie sprawy, 16) naczynie kuchenne, 17) oddzielna część USA, 18) przeżycie uczuciowe, 19) chwast zbożowy, 20) ptak, 21) „stalowy rumak”, 22) zboże, przeznaczane głównie na obrok, 23) zapas, 24) srebrna moneta z okresu Polski przedrozbiorowej, 25) alkohol występujący w liściach tytoniu, 26) upominek (wspak), 27) słodki deser, 28) pierwiastek chemiczny, 29) zwierciadło (zdrobniałe), 30) byk otaczany czcią przez starożytnych Egipcjan.

(„Oskar”)

Znaczenie wyrazów w logogryfie:
1) jednostka pracy i energii, 2) nieuprawny grunt, 3) laska naboju, 4) węglowodór, występujący w gazie ziemnym, 5) insceja z powrotem, w tył, 6) przewodnie myśli utworów literackich lub innych, 7) głos żeński.

WISŁA W DOMU

Upały, upały, upały! Pod tym względem dystrybucja niebieska wykonała plan z nadwyżką dla naszego kraju — jednocześnie wyrównując braki tej ziemskiej i rodzimej. Starym zwyczajem u nas — pory roku nie zakłócają zwyczajów dystrybucyjnych. Jest lato? — No, to w sklepach pojawiają się artykuły zimowe.

Przepraszam, ten dowcip (a raczej rzeczywistość) ma zbyt długą brodę i choć brody są podobno wykłitem nowoczesności — w tym wypadku nikt nas o to nie posadził!

Podwójne skojarzenia a propos upałów i lata w przyrodzie — zaś wyobrażenia zimy, jako antydium na kanikule oraz lekceważenia potrzeb klienta przez dystrybucję — mogłyby się stać mottem niniejszego felietonu. Dlaczego?

Primo: w upalny dzień tysiące ludzi zapelniają plaże i baseny. Odrzucający chłód jest marzeniem każdego pod czterdziesto stopniowym słońcem rzezi w termometrze.

Secundo: patrząc na wystawy sklepowe, na ciepłą odzież i sprzęt narciarski, człowiek natychmiast zapomina o lecie — i musi myśleć o zimie.

Ala ja, proszę państwa, wcale nie mam zamiaru pisać o dystrybucji i słonecznym żarze. Znamy to wszyscy zbyt dobrze!

Nie znamy natomiast ciekawego obiektu sportowego, który będzie zimą i latem spełniał doniosłą rolę dla sportowców. Gdzie? — W Krakowie. Jaki obiekt? — DOM SPORTU T. S. WISŁA. Kiedy? — Właściwie, to wkrótce — tylko... nie cały DOM.

Zaczęta jeszcze przez Gwardię budowa kompleksu urządzeń sportowych, w obrębie wielkiego stadionu między Al. 3 Maja i ul. Reymonta — powoli zbliża się ku zakończeniu.

Na początku powstało boisko z trybunami na 30 tys. widzów. Budowa wciąż trwa... Za boiskiem usadowiła się już legendarna hala Gwardii — miejsce spotkań bokserów, koszykarzy, siatkarzy i — artystów estradowych. Kolejność, co prawda, jest odwrotna, ale — jak wiemy — sportowcy powinni być także artystami...

No, więc — HALA WISŁY, to jedynie część DOMU SPORTU. Budowa w kształcie litery T — gdzie trzon tworzy hala, a tzw. daszek, czyli skrzydła — reszta urządzeń sportowych. Całość wygląda imponująco już obecnie, w przyszłości zaś będzie niewątpliwie jednym z rządkich w Polsce, a może jedynym OBIEKTEM KLUBOWYM tej miary.

Z tego względu warto tu podać niektóre szczegóły użytkowe o ścieżce owego budynku. A więc: jedno skrzydło już gotowe pomieści wielką salę gimnastyczną, pod względem wykonania i wyposażenia należącą do najlepszych w kraju, salę treningową dla bokserów, hotel zawodniczy o pojemności około 40 łóżek, świetlicę wraz z biblioteką i czytelnią, kawiarnię-stołówkę na 80 osób, pokoje klubowe, salę zebrań i pomieszczenia dla każdej sekcji wychowawczej — oraz zaplecze administracyjno-biurowe. Jak na jedno skrzydło — chyba dość. To pachnie już nowoczesną cywilizacją!

Na drugim skrzydle gmachu znajduje się basen pływacki

(25 m. × 15 m.). Na razie jednak basen jest w proszku, albo w prochu... Przyczyna: brak pieniędzy na wykończenie. Kraków w ogóle nie ma basenu pływackiego. Ani w lecie, ani w zimie... Bo — w lecie a kura! remontuje się odkryty basen „Cracovii”, a w zimie pozostaje tylko pływalnia MDK, przestarzała i za mała na przeprowadzanie poważniejszych zawodów.

Wobec tego półmilionowe miasto nie posiada pływalni... Basen „Wisły” — jeszcze nie powstał, a już awansował do tradycyjnej roli smoczey jamy. JAMA, rzeczywiście istnieje. Nawet oszalowana deskami. I co dalej?

Pocieszamy się tym, że na zimę skończy się remont basenu Cracovii — oraz zacznie roboty w krytej pływalni Wisły. W upały nie można pływać w zimnej wodzie, zaś podczas mrozu zabraknie ciepłej wody...

Ala — pochwalmy tymczasem to, co jest. Bardzo dobrze, że przynajmniej większą część DOMU SPORTU TS WISŁA — otworzy niedługo swe podwoje, godne najstarszego klubu sportowego Polski!

Wyobrażam sobie ten wspaniały, asfaltowy dojazd ul. Reymonta, dzięki pośpiechowi MRN oddany do użytku na koniec sierpnia... Wstęga przetnie sam poseł Mrugacz, któremu posłał Drobner sygnie grosem z Lajkonika... A to przyjęcie w kawiarni klubowej, co — oczyma duszy — widząc, na pewno potwierdzą: „i ja tam byłem, miod i wino piłem”!

JERZY BOBER

TADEUSZ KWIATKOWSKI

NIE MA ZABAWY bez PANA WŁADZIA

(7)

— Odwiozę cię do domu. —
— Będzie ci się chciało?
— Marzę o tym.
— Och, ty — syknęła — chciałabym raz usłyszeć, że nie, że ci się nie chce. Za grzecznego jesteś!
— W takim razie odwiozę Lilkę. Ona ze mną pojedzie.
— Co to, to nie. Odwieszysz mnie.
— Władczku, gdzie jesteś? — posłyszeli głos Lilki.
— Nie przeszkadzaj mu — dowcipkował Zombrzeski.

— Widzisz, — szepnęła jej do ucha, — pojedzie ze mną w każdej chwili i dokąd zechce. A ja wybrałem ciebie.

— Wolisz mnie, bo nie sprawiam kłopotu — odrzekła również szepem, — bo jestem rozwódka. Jestem bezpieczna. — Nie widziała jego twarzy, gdyż mrok sieni okrywał ich postaci. Poczuła tylko, że jego ręka spoczęła na jej biodrze. Chciała wiedzieć, czy kłamie.

Gdzieś w głębi kamienicy trzasnęły drzwi i dało się słyszeć człapanie dozorczy. Nagle trysnęło mdłe światło.

— O, jest zguba, — zawołała Lilka z fałszywą radością.

Mazurkiewicz, prowadząc Jolkę za rękę, zeszedł na dół. Dozorca obrzucił ich zaspanym wzrokiem.

— Będzie jeszcze kto schodził? — zapytał chowając pieniądze, które mu wręczył Linkowski.

— Możesz pan spać spokojnie.

Ulica skąpana była w bladej poświacie ranka. Przystanęli przed bramą, otulając się w płaszcze, bo czerwcową noc była chłodna. Jeźdźnia przeciągnął wóz z kiwającym się woźnicą na koźle. Kopyta dzwoniły głośno o asfalt.

Mazurkiewicz wyjął kluczyki z kieszeni. Opodał, po przeciwległej stronie ulicy czekał popielaty Opel, za nim BMW Zombrzeskiego.

— Odwiozę państwa — zwrócił się do Linkowskich. — I panią, bo pani daleko mieszka, — wskazał na Jolkę, trzęsącą się z zimna.

— Daleko, lecz przytulnie — zaśmiała się szyderczo Lilka.

I z krepującym wejściem, — powiedziała znacząco Jolka.

— Ja, przyznam się, napilibym się jeszcze czegoś, — zawołał Zombrzeski, zabijając ręce jak w czasie największych mrozów.

Goladki milczący do tej pory, ożywił się po słowach Tola.

— Mam u siebie litra, jedziesz, Władek?

— Nie, muszę się wyspać. Mam jutro coś załatwić.

— To my jedziemy. Buzi, moi państwo — powiedział Zombrzeski. — Lilka z nami. W ogóle Lilka jest fajna!

— Pewnie, że jadę. Bezpieczniej z kilkoma chłopakami niż z jednym.

— Władek, umowa stoi? — rzucił na koniec Goladki.

— Stoi.

Lilka, Zombrzeski, Jagiński i Zyberski usadowili się w beemce. Mazurkiewicz otworzył drzwiczki. Linkowski usiedli z tyłu, Jolka przy Mazurkiewiczu. Opel ruszył z miejsca ostrym gazem.

— Upiłeś się, mój staruszk — powiedziała pieszczotliwie Maryjka do męża.

— A tak chciałem być trzeźwy. Człowiek, psiakrew, nie ma miary.

— I jeszcze zboksowałeś Golasa — dorzuciła Jolka.

— To mu się należało. Nie lubię go. Po pijanemu człowiek mówi prawdę.

— Bierz przykład z Władka. Kto ma słabą głowę, musi panować nad sobą.

— Władek i Władek! — zawołał Linkowski. — Władek, zróbże w końcu coś takiego, żeby się na ciebie nie powoływały wszystkie baby. Tego już nie można słuchać.

Nagle samochód przyhamował ze zgrzytem hamulców. Przed maską wyrosła postać milicjanta. Mazurkiewicz wychylił się przez uchyloną szybę.

Milicjant pochylił się, odczytując numer wozu, potem podszedł bliżej.

— Czy pan wie, z jaką szybkością jeździ się po mieście? — spytał urzędowym, oschłym tonem, sięgając do połowej torby.

— Dzień dobry, panie Józefie. — roześmiał się Mazurkiewicz, — śpieszy mi się bardzo.

Milicjant spojrział na niego i rozbzmurzył się. Zsalutował z nagłą uprzejmością.

— Dzień dobry. Przepraszam pana inżyniera. Myślałem, że to jakiś frajer jedzie na gązie. Proszę się nie gniewać, że zatrzymałem.

Mazurkiewicz podał mu rękę.

— Nic nie szkodzi. Gdybyśmy mieli więcej takich jak pan, inaczej by wyglądał porządek. Cześć.

Milicjant został z palcami przy daszku. Opel popędził dalej.

Na Mogińskiej Linkowski wysiedli. Mazurkiewicz wyskoczył z wozu i pożegnał się z wylewną serdecznością.

Gdy odjechali kawałek, Mazurkiewicz zatrzymał wóz. Z dłońmi na kierownicy zwrócił się do Jolki.

— Czy koniecznie musisz jechać już do domu?

Spojrzała na niego z zaciekawieniem.

— Bo wiesz, teraz ja chętnie napilibym się wódki. Zmarzłem.

— Wszystkie lokale już pozamykane — powiedziała, okrywając się szczelniej płaszczem.

— Jedźmy do mnie, do garażu. Zda się, że mam tam jakąś butelkę.

— A wiesz — poruszyła się Jolka — to będzie śmiesznie. Jeszcze nigdy nie piłam wódki w garażu.

Nachylił się nad nią i pocałował ją we włosy.

— Zobaczysz, że nie pożałujesz.

W przypływie nagłej energii nacisnął starter i wrzucił bieg. Opel skreślił w przecznice i zniknął za zakrętem.

II.

Zakład fryzjerski Mariana Cieplocha leżał w dobrym punkcie, na głównej drodze wiodącej z miasta na wschód. Z daleka błyszczał mosiężny talerz nad drzwiami wejściowymi wskazując chętnemu, gdzie można skorzystać z golenia i strzyżenia.

Ciepluch przeżył swoje dni sławy. Przed wojną i w czasie okupacji czterech fryzjerów pracowało w jego zakładzie. Od rana do późnych godzin wieczornych i długie kolejki klientów czekały aż zwolni się któryś z foteli. Ciepluch penuhiował wtedy Kurierka, Światowida i Asa, a w latach późniejszych „Kraukauer Zeitung“, Fałę i Gońca.

Dziś do zakładu Cieplocha zaglądali już tylko starzy bywalcy, jacyś emeryci kolejowi i to raczej na plotki, aniżeli w celu korzystania z usług wprawnej ręki mistrza. Młodzież przedmieścia strzyla się w Krakowie, gdzie fryzjerzy znali wszystkie tajemnice mandolin i pleraz. Mimo to Ciepluch trzymał u siebie pana Franka, eleganckiego młodzieńca z czarnym wąsikiem nad górną wargą i z długimi paznokciami u małych palców, który, gdy nadarzył się klient zastępował go przy fotelu. Obydwa jakoś nie narzekali i całymi godzinami grali w liczby. Nieprzewidziany klient sprawiał im raczej kłopot i z zadowoleniem żegnali go po chłodnym przyjęciu.

Było upalne południe i Ciepluch wraz z panem Frankiem siedzieli w małym pokoiku za zakładem z szeroko rozpiętymi koszulami i popijali piwo z butelek chłodzących się w wiadrze z wodą.

Ciepluch miał dzisiaj nosa i wygrał już od swego pomocnika kilkaset złotych. Pan Franek nie dawał jednak za wygraną. Wyciągnął znowu setkę i zakrył numerem dłoń.

— Jak? — spytał uśmiechając się pod wąsikiem.

— Parzyste! — oświadczył Ciepluch znad kufła. Potem otarł usta i obydwaj pochylił się nad banknotem.

— Jeden a pięć, to sześć — liczył głośno pan Franek — sześć a sześć, dwanaście, dwanaście a osiem dwadzieścia, dwadzieścia a dziewięć to dwadzieścia dziewięć, zero się nie liczy i jeszcze trzy, razem...

— Dwadzieścia dwa — rzekł z tryumfem Ciepluch zabierając setkę. — No i co panie Franek? Jak pan wyglądasz?

— Kto nie ma szczęścia w grze, ten ma w miłości — odparł pomocnik.

— Nie mogę narzekać! — roześmiał się Ciepluch ukazując kilka złotych zębów.

— Miłość miłości nie równa — rzekł sentencjonalnie pan Franek. — Ja nie kupuję miłości. Mnie natura obdarza miłością. To warte wszystkie pieniądze.

Ciepluch machnął lekceważąco ręką.

— Bez forsy miłość wiednie. Przekonasz się pan jeszcze. Ja też taki byłem w twoim wieku. I co z tego wyszło? Kupa dzieci a przyjemności żadnej, panie Franek.

Pan Franek wzruszył ramionami.

— Czytałeś pan wczorajszy „Przekrój“? Stoi tam, że miłość nie patrzy na nic. Jak chwyci, to żebyś pan nie wiem co, nie puści.

— Śmieję się pan z tego. Jak zbada, żeś pan golec, to puści.

— A ja im wierzę. Miłość, to nie brzytwa. Nie obojętne jej kogo goli. Do miłości trzeba być, panie, wybranym przez los.

— Zawracanie głowy. Słuchaj pan mnie lepiej. Coś mi się wydaje, żeś pan zakochany.

— Może, może — pan Franek delikatnymi ruchami palców poprawił fryzurę.

— Gramy dalej?

— Czemu nie?

W tej chwili posłyszeli kroki w pokoju fryzjerskim i pan Franek sięgnął po kitel. Przed wejściem do zakładu spojrział jeszcze w lustro i musnął wąsik.

Na fotelu siedział Mazurkiewicz, obrócony tyłem do drzwi. Ciemne okulary zasłaniały mu pół twarzy, mimo to pan Franek poznał go od razu.

— Szacuneczek panu inżynierowi — ukłonił się grzecznie. — Dawnośmy nie widzieli pana inżyniera u nas.

— Mazurkiewicz podał mu rękę.

— Czy zastałem Cieplocha?

— Sześć jest u siebie. Zaraz poproszę. — pan Franek powiedział głośno poprzez drzwi do przyległego pokoiku. — Panie mistrzu klient do pana.

— Coś pan gość zapomniął — odrzekł bez entuzjazmu Ciepluch.

— E, szefuniu, to niecodzienny klient — pan Franek przyjrzał się oko do Mazurkiewicza — radzę się pośpieszyć.

Ciepluch odburknął coś niewyraźnie. Pan Franek oparł się o stolik i założył ręce na piersiach.

— Co słychać w mieście?

Mazurkiewicz uderzył kilka razy dłońmi po oparciu fotela.

— Nic nowego. Tak samo nudno jak i tu. Pracuje się...

— Ale skóreczka opalona. Widzę, że gdzieś się było na urlopie.

— A, byłem w Zakopanem. Parę dni. Łatwo się opalam. Tam też nudy.

— Bez laluni, pewnie że nudno — uśmiechnął się pan Franek.

Mazurkiewicz wstał z fotela i przeciągnął się leniwie.

— Bez laluni. Miałem tam pewien interes, ale pan wie, jakie to dziś interesy. Więcej zachodu, a mniej korzyści.

— Tak, ciężko jest — potwierdził pan Franek.

Ciepluch ubrany w biały kitel pojawił się w drzwiach.

— Kopec lat — powiedział witając się z Mazurkiewiczem. — Co słychać? Czegoż pan nie mówił od razu, kto jest — rzekł do pana Franka z pretensją.

Przejeżdżałem koło pana i przypomniałem sobie że mam panu coś powiedzieć. — Zdjął na chwilę okulary i przetarł oczy.

Pan Franek wyrzucił na drogę i przed fryzjerską zobaczył starą Mercedes z tabliczką „Nauka jazdy“. Za kierownicą siedział z poważną miną młodzieniec w okularach.

— Nie zazdroścę panu — rzekł pan Franek — tak się męczyć z tymi palantami.

— Cóż robić? — uśmiechnął się Mazurkiewicz.

— Chodźmy, to pogadamy — powiedział Ciepluch zagarniając ramieniem Mazurkiewicza — a pan, panie Franek żebyś pan wiedział. Nie ma mnie. Nawet dla Izby Skarbowej.

— Załatwione! — pan Franek machnął skierką.

Ciepluch zamknął za sobą starannie drzwi pokoiku i podsunął krzesło Mazurkiewiczowi.

— Dwa domiary mi wsadzili, że szkoda gadać. Chcą mnie stąd wykurzyć. Nie masz pan kogo znajomego, gdzie należy. Kiedyś dałem jednemu ale mnie naciąg. Wyobraź pan sobie, mnie naciąg. I nie mu nie mogę zrobić. Idzie mi teraz o pewniaka. Dam co będzie chciał.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

— Nie wiem dlaczego zależy panu na tej budzie. Przecież tu nie zachodzi nawet pies z kulawą nogą. Zwinąłbyś pan to i po wszystkim.

Na rozłożonej chustce leżał złoty zegarek, sygnet, pióro Parker 51 i złota bransoletka.

— Bruch — skrzywił się Ciepluch.

Mazurkiewicz przekrzywił głowę i syknął przez zęby.

— Myli się pan. Omega, dwudziestka czwórka. — Palcem posunął bransoletkę w kierunku fryzjera.

Ciepluch poskrobał się po czole.

— Kto to dzisiaj k-pi? To nie interes.

Mazurkiewicz odpowiedział niecierpliwie, prawiając okulary.

— Oczywiście, że to jest mała partia. Ale muszę się wyprzedzać. Potrzeba mi pieniędzy i pan to kupi.

Ciepluch wziął do ręki zegarek, przyłożył go do ucha, chwilę nasłuchiwał jak idzie, potem sprawdził bransoletkę i sygnet.

— Pióro mi na nic — rzekł żeby coś powiedzieć i tym osłabić wartość proponowanego interesu. — Nikt teraz nie pisze.

— Pióro na dokładkę — rzekł pośpiesznie Mazurkiewicz pojmując że pióro rzeczywiście w tym układzie nie przedstawia żadnej wartości.

— Ile? — spytał sucho Ciepluch.

— Dziesięć kawalków!

Fryzjer rozłożył ręce bezradnie. Mazurkiewicz nie spuszczał go z oka.

— Dziesięć! — powtórzył nie sobie nie robiąc z rozczarowanej miny Cieplocha.

— Nie da rady — Ciepluch odsunął od siebie przedmioty. — Co roku masz pan większe wymagania. Dawniej...

— Dawniej to było co innego — uciął krótko Mazurkiewicz.

— Ale ja tyle nie wyciągnę — fryzjer rozpiął kitel i poprawił się na krześle szurając nogami pod stołem.

— Nie straci pan. Chce pan żebym panu pomógł w Izbie. Nie odmawiam. Mam znajomych. Jestem w potrzebie. Pan nie odmówi. Chyba że pan chce odmówić?

— Pan wie — powiedział Ciepluch patrząc w oczy Mazurkiewiczowi — że ja nie odmawiam. Zrobiliśmy niejeden interes. Lepszy interes od tego — wskazał z pogardą na chustkę z biżuterią — ale to się nie opłaca. Siedem kawalków i po krzyku.

— Dziesięć. Inaczej zabieram z powrotem — w tonie Mazurkiewicza zabrzmiała cienka nutka groźby. — Pan wie że ja nie lubię żartów. Jak ja coś mówię, to błąd. W ok pację panu pomogiem. Teraz też mogę pomóc. A gdy się nie chce komuś pomóc...

— Dziesięć! — Ciepluch odetchnął głęboko — Z moją stratą.

— Nie boję się o pana. Pójdzie do rodzinnych zbiorów.

— Co z tym piórem?

Mazurkiewicz porwał Parkera i wyrzucił go przez okno na grządki ziemniaków.



Według GROSZA

Ciepluch błysnął wesoło oczami.

— A mnie to odpowiada. Dobry punkt. Cicho. Nikt się nie wtrąca, tylko ci od domiarów. Zrobi się co?

— Mam jakichś znajomych. Ale to potem. Przyjechałem do pana w innej sprawie. Potrzeba mi pieniędzy.

Ciepluch uśmiechnął się dobitliwie.

— Komu nie potrzeba pieniędzy?

— Mnie potrzeba zaraz.

Ciepluch pokręcił głową. Spojrzął na Mazurk